Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
odgłosy

NR 45 (1248) ROK XXIV 8 LISTOPADA 1981 R. CENA 7 ZŁ

na co możemy liczyć?

ROZMOWA O ZIMIE Z JÓZEFEM NIEWIADOMSKIM, PREZYDENTEM MIASTA ŁODZI

— Panie prezydencie, zbliża się zima, a ja mam koszmarną wizję: wielkie osiedle mieszkaniowe, mróz i śnieg, drogi zasypane, komunikacja sparaliżowana. Pewnej nocy elektrownia przestaje dostarczać prąd, a nagła awaria elektrociepłowni pozbawia osiedle centralnego ogrzewania. Gazu, którym ludzie próbują ogrzać stygnące mieszkania, również na długo nie starcza... Czy Panu coś to przypomina?

— Rzeczywiście wizja jest czarna. Takiej sytuacji jednak nie pamiętam, nawet w tę najtrudniejszą zimę...

— Widzew-Wschód zima 1978/1979 był przecież o krok od takiego stanu.

— Nie doszło jednak do tego. Myślę więc, że jest to bardzo czarna wizja, chociaż — teoretycznie biorąc — prawdopodobna, ale tylko prawdopodobna.

— Pozostając jednak przy sytuacji na Widzewie tamtej zimy...

— Dzisiaj sytuacja na tym osiedlu jest całkiem inna, niż w 1979 roku. Mamy w Łodzi dobry system ciepłowniczy. Zaprogramowano go z głową: wszystkie trzy elektrociepłownie tworzą jeden, spójny system. Jeśli nawet wysiądzie EC-IV, mamy możliwość natychmiastowego przełączenia i podania ciepła na Widzew-Wschód z innych ciepłowni. Mamy lepszy system, niż np. warszawski. Sytuacja, o jakiej pan mówi, wystąpiła rzeczywiście w Warszawie w 1979 roku, kiedy przestała pracować elektrociepłownia na Siekierkach, dostarczająca ciepło dla ok. 600 tys. ludzi. U nas takiego zagrożenia nie ma. My mamy możliwość podawania ciepła nie tylko z jednego kierunku.

— Panie prezydencie, wrócę jednak do owej zimy, którą po dziś dzień niektórzy widzewianie wspominają z autentycznym przerażeniem. Szczególnie dotknięte były tym nieszczęściem — awarią EC-IV — młode małżeństwa z dziećmi a także osoby samotne, chore, zniedołężniałe. Ludzie do dziś twierdzą, że miasto nie zrobiło zbyt wiele, żeby ulżyć im w nieszczęściu...

— Uważam, że miasto zrobiło wszystko, co mogło zrobić, włącznie ze skierowaniem w rejon awarii wojska, wszystkich spychaczy, jakimi dysponowaliśmy, brygad remontowych. Absolutnie nie oceniam tego tak, że miasto nie zrobiło... Zresztą miasto, co to znaczy miasto? Tutaj głównie energetyka działała. Ludzie, którzy usuwali awarię w elektrociepłowni, pracowali z ogromnym poświęceniem. Awaria też stosunkowo szybko została usunięta. W Warszawie trwało to o wiele dłużej. Oczywiście, nie ma co się zasłaniać Warszawą, bo cóż ludzi obchodzi Warszawa: oni mieszkają w Łodzi i chcą, żeby w Łodzi był porządek.

— Nie mam zamiaru negować pozytywnej opinii o wysiłkach ludzi, usuwających awarię. Przeciwnie, sam ze szczerym uznaniem pisałem o ich bezprzykładnej ofiarności i wielkiej sprawności. Chodzi mi jednak o coś innego. Obywatel ma prawo nieco inaczej wyobrażać sobie obowiązki państwa — w tym przypadku: władz miasta — wobec siebie, kiedy znajdzie się w nieszczęściu. Obywatel ma prawo uważać że sama walka z awarią — to stanowczo za mało. Wobec takiego kataklizmu jaki spadł na Widzew-Wschód jaki na całe trzy dni postawił ludzi na krawędzi..

— No, w bardzo trudnej sytuacji...

— ...ci ludzie mogli się spodziewać — powiedzmy — odpowiedniej akcji: na osiedle mogły dotrzeć transportery z żywnością i lekarstwami agregatami prądotwórczymi i kuchniami polowymi. Można było wydzielić takie mieszkania, oświetlić je i ogrzać, zgromadzić w nich dzieci i chorych, kuchnie polowe natomiast mogły dostarczać pozostałym mieszkańcom gorące napoje i ciepłą strawę...

— Zaraz, zaraz, ale energia elektryczna na Widzewie była...

— Teoretycznie, gdyż w wielu blokach były poważne zakłócenia. Całe kwartały mieszkalne pozbawione były prądu. Nie wiem czy była to kwestia zbyt niskiego napięcia czy małego natężenia, tak czy inaczej zdarzało się, że w jednym mieszkaniu jednocześnie nie było ciepła, prądu, a i gazu, gdyż duże zużycie tak obniżyło ciśnienie...

— Nie, nie, panie redaktorze, tam była taka sytuacja: to był 1979 rok, drugi bodaj rok realizowania tego osiedla, faktycznie sieć energetyczna miała charakter prowizoryczny. Bardzo często poszczególne bloki korzystały z energii przeznaczonej dla przedsiębiorstw budowlanych... A czy zachodziła taka potrzeba, o której pan mówi? Jeśli chodzi o wyżywienie i odśnieżanie, nie przypominam sobie, żeby było tak tragicznie. Chleb i mleko były. Myśmy bardzo szybko opanowali sytuację w Łodzi. Czy kuchnie polowe rzeczywiście były potrzebne? Gdyby zaszła taka konieczność, bylibyśmy przygotowani, aby

Dalszy ciąg na str. 3

kremlowski marzyciel H.G. WELLS

Podstawowym celem mojej podróży z Piotrogrodu do Moskwy było: zobaczyć *Lenina* i porozmawiać z nim. Byłem ogromnie ciekaw tego spotkania i muszę się przyznać, że byłem usposobiony do *Lenina* raczej niezbyt przyjaźnie. Tymczasem znalazłem człowieka zupełnie niepodobnego do tego, jakim go sobie wyobrażałem.

Lenin nie jest człowiekiem pióra, jego opublikowane prace nie dają właściwego o nim wyobrażenia. Ukazujące się w Moskwie z jego podpisem ulotki i broszury, utrzymane w ostrym tonie, zawierają sporo mylnych sądów o psychologii robotników na Zachodzie, z uporem obstają przy absurdalnym twierdzeniu, jakoby w Rosji dokonała się właśnie przepowiedziana przez Marksa rewolucja społeczna. Otóż ulotki te w minimalnym nawet stopniu nie odzwierciedlają istoty umysłu *Lenina*, o czym przekonałem się podczas odbytej z nim rozmowy. We wspomnianych broszurach spotyka się niekiedy subtelne przebłyski natchnionej intuicji, ich całokształt jednak jest jedynie odbiciem stereotypowych tez i sformułowań ortodoksyjnego marksizmu. Możliwe, że to jest konieczne. Możliwe, że jest to jedyny język, jaki komuniści są w stanie zrozumieć: posługiwanie się nową frazeologią mogłoby ich zdezorientować i wytrącić z równowagi. Lewy komunizm można by uważać za kręgosłup obecnej Rosji — niestety, jest to kręgosłup pozbawiony elastycznych kręgów, zginający się z ogromnym trudem, i to jedynie tylko w odpowiedzi na czołobitne pochlebstwa.

Życie w Moskwie zalanej październikowym słońcem i przystrojonej w żółknące liście wydało nam się znacznie lżejsze i ruchliwsze aniżeli w Piotrogrodzie. Ulice są bardziej ożywione, handel kwitnie, dorożkarzy jest też znacznie więcej. Rynki są pootwierane. Domy i jezdnie są w lepszym stanie, niż to się widzi w Piotrogrodzie, chociaż spotyka się jeszcze sporo śladów po zaciekłych i krwawych bojach, które się toczyły na ulicach miasta w początkach 1918 roku. Jedna z kopuł niezwykłej bazyliki Wasilija Błogosławionego, znajdującej się u wrót wiodących na Kreml, została rozwalona przez po-

Dalszy ciąg na str. 8

Foto: R. Łucyszyn

TOMASZ SOLDENHOFF

odnalezione ogniwo

Rok temu, 30 października, minister kultury Józef Tejchma przekazał telefonicznie do Wrocławia decyzję o przyznaniu mu prawa do Panoramy Racławickiej: budowy rotundy, konserwacji płótna i jego ekspozycji. Nazajutrz tę samą wiadomość podała prasa. Tak zakończył się Panoramy żywot utajony i męczeński...

O jej powikłanych dziejach pisałem już w „Odgłosach", w grudniu ubiegłego roku. („Zagubione ogniwo" „Odgłosy" nr 51—52). Wkrótce potem sprawa jakby znowu przycichła, z pozoru, bo dla wielu ludzi zaangażowanych w nią, była to cisza wypełniona niezwykle gorączkową pracą... W końcu niedawno pani *Bożena Steinborn* — wicedyrektor Muzeum Narodowego we Wrocławiu członek prezydium Społecznego Komitetu Panoramy Racławickiej, poinformowała mnie w liście, że w połowie października malowidło ma być przeniesione do gotowej rotundy i zaczęta jego konserwacja.

Pojechałem do Wrocławia w pierwszych dniach października. Rzeczywiście, dziesiątego — a więc w rocznicę powstania trzeciego w historii komitetu ratowania Panoramy — zamierzano przewieźć płótno do budynku przy ul. Purkyniego. Ale nie tylko ten pierwszy termin okazał się nierealny. Z powątpiewaniem wyrażano się o możliwości dotrzymania nawet i drugiego, także zresztą w rocznicę (powrotu Panoramy do Wrocławia — 13 listopada)... Na moje pytanie: co jest opóźnione?, kustosz *Józef Piątek* z Muzeum Narodowego odpowiedział krótko:

— *Wszystko!*

*

Po wspomnianej decyzji temat Panoramy przestał budzić namiętności tysięcy sygnatariuszy listów i apeli do władz; wciągnął natomiast gremia specjalistów. Gdy na miejskich placach i w domach towarowych (także w Łodzi) z wolna zaczęły wypełniać się skarbonki, gdy rozkręcano akcję wystaw, wydawnictw i koncertów „na rzecz", fachowcy wznowili zawieszone przed laty dyskusje nad zagospodarowaniem kompleksu Panoramy, metodami konserwacji płótna i ekspozycji.

Stosunkowo najmniej sporów wywołała strona budowlana. Ale też — kiedy w 1968 roku ostatecznie wstrzymano ciągnące się prace — rotunda była właściwie gotowa w stanie surowym. Toteż wznowiono je już w początkach grudnia, wg zaktualizowanego, mającego 23 lata projektu *Ewy i Marka Dziekońskich*.

Ważną rzeczą jest, że w tej pierwszej fazie — rozruchu — można było odwołać się do spontanicznej ludzkiej pomocy: finansowej, ale i rzeczowej. Tylko do końca marca pracowało na budowie społecznie przeszło 700 osób. Np. bezpłatne ekspertyzy specjalistów z Politechniki Wrocławskiej wykazały że konstrukcja stalowa rotundy nie ucierpiała wskutek upływu czasu.

Dalszy ciąg na str. 7

czekając na megawaty

EUGENIUSZ IWANICKI

Dziś już można się przyznać: polska energetyka od wielu lat przeżywała kryzys. Nie pomagały pompatyczne zobowiązania, pozbawione realnych podstaw uchwały, plany na wyrost, optymistyczne relacje prasowe. Codzienne komunikaty mówiące o dwudziestym stopniu zasilania niosły w sobie grozę kryzysu.

W chaosie gospodarczym, w zamęcie strajków, w dobie załamywania się wartości pisać o czymś, co wzbudza nadzieję, jest zajęciem dość od-

Dalszy ciąg na str. 5

PRZEZ dwa ostatnie miesiące roku w Muzeum Martyrologii i Walki na Radogoszczu czynna będzie wystawa z cyklu „Martyrologia i walka w sztuce", poświęcona tym razem grafice i rysunkowi obozowemu. Prace — pochodzące z muzeów w Oświęcimiu, na Majdanku i zbiorów własnych — ukazują charakterystyczne fragmenty codziennego życia w obozach. Wykonali je więźniowie i żołnierze wyzwalający miejsca masowej zagłady.

ZE ŚWIATA MUZYKI tym razem większa garść informacji. Nie tak dawno wyrażaliśmy w „Przeglądzie" zaprawione obawą życzenie, by władzom łódzkiej Filharmonii udało się zaprosić rzeczywiście najlepszych wykonawców VIII Międzynarodowego Konkursu im. H. Wieniawskiego. I oto wypada pogratulować PFŁ. operatywności: na przełomie października i listopada gości ona troje laureatów. Aurelego Blaszczoka z Katowic (III nagr.), 18-letnią Japonkę Keiko Urushi hara (I nagr.) oraz jej rodaczkę Seji Kageyama (IV nagr.). Solistom akompaniuje pianista, pracownik łódzkiej PWSM prof Tadeusz Chmielewski... — czwarty laureat konkursu. Towarzyszył on w Poznaniu wszystkim zagranicznym uczestnikom. Jury pod przew. H. Szerynga i firma „Inter-Fragrances" przyznały mu dwie nagrody specjalne „za wybitne osiągnięcia w kreowaniu partii fortepianowych".

Skoro o sukcesach łódzkiej uczelni muzycznej mowa, odnotujmy jeszcze trzy przyjemne fakty. Niedawno, z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki, prof. Franciszek Wesołowski, teoretyk muzyki i pedagog PWSM, odebrał z rąk min. Józefa Tejchmy Order Sztandaru Pracy I klasy — w gronie zasłużonych dla polskiej kultury muzycznej Natomiast doc. Zbigniew Frieman (specjalność: instrumenty smyczkowe) otrzymał — jako jedyny przedstawiciel sztuki muzycznej wśród 99 uczonych i pedagogów — tytuł profesora nadzwyczajnego... Gratulujemy!

Z występów w Anglii powróciła absolwentka łódzkiej PWSM, młoda skrzypaczka Barbara Górzyńska, gdzie została zaproszona po zdobyciu I nagrody na ubiegłorocznym Konkursie Skrzypcowym im. K. Fiescha. Występowała w stolicy z London Philharmonic Orchester, w recitalu z pianistką A. Wesołowską-Firlej i w Instytucie Kultury Polskiej oraz w Southampton. Recenzje mówią o kolejnym sukcesie, m. in. krytyk „Timesa" pochwalił łódzką solistkę „za perfekcję wykonania i bardzo piękny, słodki ton"...

PRZEGLĄD KULTURALNY

DOŚĆ niepostrzeżenie do czołówki wydarzeń artystycznych w Łodzi w ostatnich latach awansowała otwarta w końcu października międzynarodowa wystawa „Konstrukcja w procesie", na której zgromadzono prace przeszło 50 artystów-postkonstruktywistów (z kilkunastu krajów) należących już do historii sztuki współczesnej, acz dotąd nieznanych szerzej w Polsce. „Najwyższy czas, aby dać naszemu społeczeństwu możliwość określenia właściwego sensu sztuki lat 70, a co za tym idzie — możliwość uzyskania obiektywnego obrazu współczesnej kultury" — powiedział dla biuletynu „Solidarność Ziemi Łódzkiej" inicjator i komisarz wystawy Ryszard Waśko reprezentujący Komitet Ruchu Odnowy Uczelni PWSFTviT — jednego z 15 organizatorów wielkiej ekspozycji w byłej fabrycznej hali „Budremu"

Równolegle otwarto wystawę „Fałochron Sztuka polska 1970—1980", pokazującą prace 20 artystów spoza oficjalnego ruchu wystawienniczego, związanych z siecią tzw. galerii niezależnych. Obu wystawom towarzyszyły pokazy performances, akcje oraz symozjum „Sztuka polska lat 70". Z dużą radością i nadzieją, podobnie jak artyści, przyjęliśmy deklarację przew. ZR NSZZ „Solidarność" A. Słowika, który przyrzekł swoje starania o przekazanie budynku przy ul. PKWN 27 na własność artystom, poszukującym — jak określił — nowej formuły dla sojuszu z klasą robotniczą. W sytuacji, gdy łódzcy plastycy od dawna marzą o nowoczesnej galerii, a Muzeum Sztuki nie może doczekać się magazynów, nie mówiąc już o nowym gmachu, ta perspektywa może rzeczywiście przyprawić o zawrót głowy... A więc: czekamy!

Z POLONIKÓW-ŁODZIANÓW LITERACKICH. Nakładem wyd. „Patmos" w Düsseldorfie ukazał się nowy wybór przekładów poezji polskiej najwybitniejszego niemieckiego tłumacza naszej literatury — Karola Dedeciusa. W książce zatytułowanej „Wiara, nadzieja, miłość" („Glaube, Hoffnung, Liebe") wśród 35 współczesnych autorów znalazł się łodzianin Henryk Hartenberg (ur. 1915).

SZEREG autorów związanych z Łodzią odnaleźć można w wydanym niedawno w CSRS, 500-stronicowym „Słowniku pisarzy — Polska" (wyd. Odeon) pod red. Otakara Bartosza. Osobne hasła-biogramy mają tu m. in. uczeni działający po wojnie na Uniwersytecie Łódzkim: historycy literatury prof. prof. Stefania Skwarczyńska i Stefan Kawyn oraz językoznawca i slawista prof. Henryk Ułaszyn. Z pisarzy reprezentowani są Stanisław Czernik (w Łodzi od 1951 do 69), Kazimierz Korcelli (ur. w 1907 w Łodzi dramaturg i publicysta, w 1945 r. założył tu „Życie Chłopskie"), poeci Jan Huszcza (w Łodzi od 1945) i Marian Piechal (ur. w Łodzi w 1905), który — jak stwierdza autor biogramu — „uprawia przy pomocy tradycyjnych środków poezję społeczną o tematyce robotniczej Łodzi", a także Jan Koprowski, wymieniony jako „redaktor łódzkich czasopism: Łódź Literacka, Kronika, Odgłosy; prezes Oddziału ZLP" i również w twórczości nawiązujący do „tematyki przemysłowej Łodzi". Słownik wspomina także łódzkie związki Juliana Tuwima, Romana Jaworskiego (zm. w Łodzi w 1944), Stefanii Grodzieńskiej (ur. w Łodzi w 1914, współpracująca z teatrem „Syrena" w jego „łódzkim okresie"). Więcej miejsca słownik poświęca dwóm prozaikom: Leonowi Gomolickiemu (w którego biogramie brak jednak — o dziwo! — wzmianki o długich, trwających do dziś związkach z tym miastem) i Władysławowi Rymkiewiczowi; w jego haśle czytamy m. in.: „po wojnie osiedlił się w Łodzi, pełnił funkcje w Oddziale ZLP, jest autorem realistycznych powieści społecznych o współczesności i powieści historycznych, które od roku 1960 są tematycznie związane z rozwojem rewolucyjnego ruchu robotniczego Łodzi".

30 PAŹDZIERNIKA br. zmarł nagle w Łodzi, w wieku 30 lat, Jacek Żuk-Żukowski, operator filmowy, związany z Wytwórnią filmów Oświatowych. Urodzony w rodzinie reżyserskiej w WFO), ukończył łódzką PWSFTviT w 1976 roku. Był autorem zdjęć do wielu filmów zrealizowanych w WFO i „Se-Ma-Forze", laureatem szeregu nagród krajowych i zagranicznych festiwali filmowych.

1.

Drugi po przesileniu bydgoskim powszechny strajk ostrzegawczy przeszedł już do historii. Odnotowany zostanie jako jeszcze jedno pyrrusowe zwycięstwo nad rozsądkiem, jako dowód, że nadal egzystujemy w jakiejś nadrzeczywistości. Jeden tylko znak odmiany: bez euforii, raczej w przygnębieniu, z niepokojem, że uczestniczy się w czymś bezsensownym.

Poprzednie apele KK o zaniechanie incydentów lokalnych poszły w pustkę. Intencja, jeśli taka naprawdę była, że strajk środowy będzie sygnałem do zakończenia strajków lokalnych, okazała się tylko pobożnym życzeniem, potwierdziła bezradność KK wobec regionów. Z satysfakcją więc odnotowuję głos KK o potrzebie środków dyscyplinujących w stosunku do podległych ogniw Związku. Długo, za długo, czekaliśmy na tę samoświadomość, że żywioł wyjęty spod kontroli niszczy i własne korzenie.

Przewodniczący Wałęsa mówi, że był to ostatni strajk. Odłożył wyjazd do USA, ruszył w kraj gasić zapalne ogniska. Bardzo ładnie, ale w Żyrardowie mówi o rządzie jako „worku do bicia'. Rozumiem wiecową retorykę, ale... tak jest na co dzień. Wali się w ten rząd jak w bęben. Stawia się żądania, których przecież sam rząd spełnić nie może, oskarża o grzechy nie popełnione. Nie sądzę, by nawet sami działacze „Solidarności", oskarżając rząd o represje, wierzyli w to, co mówią. Są represje za działalność polityczną, antypaństwową, łamiącą obowiązujące przepisy prawa. Tolerancja na tym polu się skończyła i nie powinno to nikogo dziwić. Jeśli ktoś chce uprawiać działalność polityczną przeciw ustrojowi, niech to robi na własny rachunek, a nie pod ochronnym parasolem czy wręcz patronatem związku zawodowego. Prawo musi być wspólne dla wszystkich, ale odpowiedzialność za konkretne czyny nie może obciążać jakiejkolwiek wspólnoty. Nie można się dać zwariować.

A wracając do spraw natury egzystencjalnej, wyżywienia narodu. Decyzje rządu o skierowaniu na wieś rzeczywistego strumienia towarów w zamian za żywiec, może wreszcie przynieść jakąś odmianę. Przelicznik: jeden do pięciu wydaje się rozsądny i mobilizujący rolników do uruchomienia dostaw. My, mieszczuchy, chcąc jeść, musimy poczekać do lepszych czasów z zakupami towarów przemysłowych. Trudno, trzeba wybierać i w sytuacji, gdzie nie ma szans dla dobrych rozwiązań, trzeba się ratować w każdy możliwy sposób.

I jeszcze jedna uwaga. Nowy minister handlu wewnętrznego, Z. Komender (bezp. PAX), powiedział, że nad sprawami zaopatrzenia trzeba całkowicie unieść wszelkie kurtyny, ujawnić publicznie nasze faktyczne możliwości i na oczach wszystkich dzielić to, co posiadamy. Położyć kres wszelkiej nieufności do władz i ze spokojem uznać realia takie, jakie są. Robić jednocześnie wszystko, żeby było więcej do podziału, a tam, gdzie to niemożliwe, określić niezbędne samoograniczenie. By przetrwać, trzeba przynajmniej nie rozerwać na strzępy tej przykrótkiej kołdry.

2.

V Plenum KC nie miało „widowiskowego" charakteru. Stąd jakby nuta rozczarowania, zwłaszcza u zagranicznych komentatorów. No cóż, sam tydzień temu pisałem o potrzebie silnego, zwartego przywództwa. W podobny sposób większość obserwatorów sceny politycznej ułatwia sobie orientację poprzez spekulacje personalne. Tego zabrakło, co — jak domniemywano — wynikło z braku takiej konieczności. Jeśli więc nie trzeba było, możemy przyjąć, że nie jest pięć po dwunastej.

Utwierdza w tym przekonaniu kolejna oferta Generała, już jako sekretarza partii, pod adresem „Solidarności". Głos ten, powtórzony w Sejmie, jest ostrzeżeniem przywódców związku, a ponad ich głowami apelem do milionów jego członków — obywateli kraju. Myślę, że na ten odzew trzeba zwłaszcza liczyć. Tak widzi to również Sejm w podjętej uchwale o czasowym wstrzymaniu strajków. Alternatywą mogą być dalsze działania ustawodawcze i ich egzekucja wszelkimi środkami prawa. Ale są przecież nadal wszelkie możliwości, aby te działania stały się zbędne. Pokój społeczny można uratować jedynie przy stole obrad, wspólnie. Każde inne rozwiązanie, chociaż przyświecałoby mu tysiąc racji nadrzędnych, jest niebezpieczne.

Ostatnie sygnały (zakończenie strajku w Tarnobrzeskiem) świadczą o tendencji oczekiwanej i przez władze, i społeczeństwo. Może za kilka dni znów odetchniemy z wielką ulgą, ubożsi o ileś

ODGŁOSY TYGODNIA

POTRZEBA SPOŁECZNEGO POKOJU

tam miliardów, ale „bogatsi" o kolejne doświadczenie, z którego — po marksistowską biorąc — jakieś nauki przez obie strony zostaną wyciągnięte.

3.

Wpiszmy między wiersze tych notatek trochę optymizmu. Kilka konkretów, których od dawna społeczeństwo oczekuje. Choćby jakiś znak, że coś się odmienia na lepsze, że stwarza się jakąś szansę poprawy. Myślę przede wszystkim o terenowych grupach operacyjnych, które od tygodnia podjęły działalność w ponad 2 tys. gmin.

Odrzućmy wpierw pomówienia o przejmowaniu władzy przez wojsko, spekulacje o stanie wyjątkowym „na raty", itd. Lepiej przypomnijmy sobie, że wojsko zawsze stawało do społecznej służby, kiedy to było potrzebne. Tak było po wojnie na Ziemiach Odzyskanych, tak było zawsze w okresie różnego rodzaju klęsk żywiołowych, zim stulecia, powodzi, zagrożeń gospodarki i ludzkiej egzystencji. Czyż obecnie jest inaczej? Nie trzeba tego udowadniać. O tej konieczności najlepiej świadczy reakcja społeczeństwa, oczekiwania może ponad miarę żołnierskich możliwości. Pomoc ekipom wojskowym w uporządkowaniu bałaganu na prowincji może być znacząca, ulżyć ludziom w biedzie, natchnąć ich nadzieją, że ład i sprawna organizacja może być czymś normalnym.

Na razie wojskowi zaczynają od elementarza. Zaopatrzenie, transport, rozdzielnictwo; od tego, co widać gołym okiem. Nie wyręczają administracji, ani jej nie zastępują, bo ani w tym rzecz, ani to technicznie możliwe. Obecność ludzi w mundurach, z określonymi pełnomocnictwami, musi ostatecznie przekonać miejsko-gminne władze, że skończył się czas bierności, rutyny, tolerowania bałaganu, machlojek i gry w stare układy. Sytuacja wymusiła niekonwencjonalne posunięcia i nie trzeba im się dziwić, lecz wzmocnić je społecznym zaufaniem. Łatwiej w ten sposób będzie przetrwać zimę, a może i coś pożytecznego zostanie na przyszłość.

4.

Ten akapit zapisuję z zażenowaniem, ale wyczyn Mariana Jurczyka wymaga, mimo wszystko, zajęcia stanowiska. Nie pierwszy to sygnał bezlitosnego ataku na władzę, zamiast, jak bywało w przeszłości, aprobaty czy demonstracyjnego poparcia. Do krytyki, nawet niesprawiedliwej czy przesadnej, władze muszą się przyzwyczaić: takie są „koszty" pluralizmu, normalny gdzie indziej element walki politycznej. I to władzy może wyjść tylko na zdrowie. Ale tego wszystkiego trzeba się dopiero nauczyć. Jak na razie, mamy częściej do czynienia z parodią układu władza — opozycja. Przyznam, że mniej mnie obeszły jego poglądy, jakaś dziwna mieszanina antykomunizmu i antysemityzmu, jego to w końcu sprawa, ale wzbudzić może autentyczną grozę, że taki polityczny troglodyta jest jednym z liderów 10-milionowego Związku (członek KK, szef własnego regionu, 200 głosów na Zjeździe) i wcale abstrakcyjnie można sobie wyobrazić, że jakiś przypadek mógłby go wynieść na przywódcę tego ruchu. Co wtedy? Wystąpienie M. Jurczyka w Trzebiatowie narusza prawo i prokuratura wszczęła śledztwo. Interesuje mnie bardziej, jak zareaguje Związek i jego władze. Przecież to, co uczynił, również bije rykoszetem w KK, w powagę i wiarygodność całego Związku. Czyż sygnał ten nie powinien pobudzić do uruchomienia wewnętrznych mechanizmów obronnych „Solidarności"? Tacy Jurczykowie mogą równie dobrze zniszczyć Związek, jak dzikie strajki i niepohamowane żądania.

5.

Mój stary kolega H.M., zajmujący kiedyś dość znaczące stanowisko w środowisku kulturalnym Łodzi, przesłał mi niedawno list z prośbą o opublikowanie. Pisze w nim o swoim wystąpieniu z PZPR, po 25 latach aktywnej działalności. Twierdzi, że chce nadal służyć idei socjalistycznej, ale „prawdziwej", poza partią, która utraciła zaufanie społeczeństwa, zmierzając po IV Plenum KC do konfrontacji z „Solidarnością". Dążyć więc będzie do powołania Ruchu Socjalistycznego Odrodzenia.

List ten, jako członka PZPR, zmartwił mnie, to oczywiste, ale specjalnie nie zdziwił. H.M., już nie towarzysz, lecz kolega (n.b. aktywista „Solidarności") dokonał wyboru, jednego z tysięcy, jakich ludzie w tym kraju dokonują. Jedni występują z PZPR, drudzy z „Solidarności", znam i takich, co wypisują się i z partii, i ze związku. Wyobrażam sobie, że nie jest im łatwo, że każdy z nich przeżywa swój dramat. Jest to piekło ludzi uczciwych i zagubionych, a do takich zaliczam mojego korespondenta. Nie ukrywam, że jest to również problem dla partii; przynależność do niej staje się sprawą niełatwą, co brzmi jak paradoks, bo mówimy o partii rządzącej. Ale to prawda, takie przyszły czasy. Tyle dobrego w nich co brudu za paznokciem, ale ułatwiają samoweryfikację, ułatwiają odpowiedź na pytanie, które każdy przyzwoity człowiek zadaje sobie codziennie: kim jestem naprawdę? Może więc, nie mając racji, postąpiłeś słusznie? Nikt tej wątpliwości, poza Tobą, nie rozstrzygnie. Takie to mamy czasy, drogi H.M.

JERZY WAWRZAK

TYDZIEŃ W POLITYCE

Miniony tydzień w polityce międzynarodowej zaznaczył się dość bogato. Dlatego w dzisiejszym przeglądzie zajmiemy się kilkoma najważniejszymi.

Przede wszystkim odnotujmy **wznowienie po 3-miesięcznej przerwie wakacyjnej madryckiego spotkania przedstawicieli państw, uczestniczących w helsińskiej KBWE.** Przebieg pierwszych godzin obrad potwierdził przypuszczenia — ani nie pojawiły się oznaki, wskazujące, że rychło można spodziewać się pomyślnego finału, ani nie zasygnalizowano chęci przerwania dyskusji. Taktyka Zachodu wydaje się zmierzać do przedstawienia na wstępie twardego stanowiska, ale i podjęcia żmudnych negocjacji z nadzieją, że jednak porozumienie nastąpi. Związek Radziecki natomiast cierpliwie zmierza do celu, a więc konkretnych porozumień. Jednym z nich i podstawowym ma być zwołanie konferencji na temat wojskowych aspektów bezpieczeństwa, tej konferencji, której gotowi jesteśmy udzielić gościny w Polsce. Jak ważne mogłaby ona spełnić zadanie — pisaliśmy niejednokrotnie.

Co można zatem prognozować? Chyba jednak osiągnięcie wspólnych ustaleń, z tym jednak, że można mieć wątpliwości czy spotkanie uda się zakończyć do świąt Bożego Narodzenia, jak to ostatecznie zakładano.

Innym wydarzeniem tygodnia nie tylko dla Finlandii jest **rezygnacja 81-letniego Urho Kekkonena ze stanowiska prezydenta.** Motywem ustąpienia po 25 latach prezydentury jest zły stan zdrowia i właściwie dwumiesięczna już niemożność sprawowania urzędu. Wraz z tym odejściem zamyka się cała era, ponieważ z nazwiskiem prezydenta związana jest „własna linia polityki zagranicznej i aktywna polityka neutralności". Jeden z przyjaciół Kekkonena tak powiedział o jego roli: „Naród fiński mógł wciąż od nowa polegać na jego długoletnim doświadczeniu i na jego orzeźwiającej zdolności kierowania się rozsądkiem z chwila, gdy stawała wobec problemów zewnętrznych, jak i wewnętrznych".

Polskiemu Czytelnikowi zbędne byłoby przypominać, jaką to rolę spełniał Kekkonen na arenie międzynarodowej i jak wiele może mu zawdzięczać Europa w przygotowaniu i przebiegu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy.

Według przewidywań do fotela prezydenckiego pretendować będzie siedmiu kandydatów. Dziś wydaje się, że szanse spośród nich ma Mauno Koivisto — socjaldemokrata, obecny premier. Ale 22 listopada zbiera się na swój zjazd Partia Centrum i od tego, kogo wyłoni na przewodniczącego, może zależeć, czy kandydatura Koivisto pozostanie niezagrożona, czy też pojawi się poważny konkurent. Dotychczas sondaże sygnalizują, że 60 proc. Finów widziałoby na fotelu prezydenckim obecnego premiera. Jednakże wybór dokonuje się poprzez elektorów, którzy nie są związani ustaleniami swej partii. Ponadto obraz zaciemnia skomplikowana ordynacja wyborcza, w której właściwie tylko jedno jest jasne: kandydat w dwóch pierwszych turach musi otrzymać większość głosów elektorskich tzn. co najmniej 151.

Wybory, które mają wyłonić następcę Kekkonena, wyznaczone zostały na 17 i 18 stycznia.

W dniu, w którym drukować się będzie „Odgłosy", odbędzie się **siódme i może decydujące głosowanie w Radzie Bezpieczeństwa nad kandydaturami na stanowisko sekretarza generalnego ONZ.** Kandyduja, zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami, Kurt Waldheim, którego nie trzeba przedstawiać i Salim Ahmed Salim — minister Spraw Zagranicznych Tanzanii. Głosowania odbywają się wprawdzie przy drzwiach zamkniętych, ale wiadomo, że sprzeciw wobec kandydatury Waldheima zgłosiły Chiny, a Salima — Stany Zjednoczone. Oba te państwa, jak wszystkie wielkie mocarstwa, dysponują prawem veta. A procedura jest taka, że Rada Bezpieczeństwa musi rekomendować kandydata, którego wyboru dokonuje formalnie Zgromadzenie Ogólne. W dotychczasowej historii jeszcze się nie zdarzyło, aby Zgromadzenie postąpiło inaczej, niż wskazała Rada.

Impas w wyborach sekretarza generalnego jest pewną niespodzianką, chociaż wiadomo było, że Salim ma grupowe poparcie krajów niezaangażowanych. W Radzie Bezpieczeństwa w każdej z tur przewagę liczebną i wystarczającą miał Waldheim, ale właśnie to veto chińskie.

W związku z wytworzoną sytuacją pojawiły się rozważania (pisaliśmy o tym), czy nie padnie jeszcze inna propozycja — przedstawiciela Ameryki Łacińskiej. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne.

I temat czwarty z aktualiów tygodnia — **sukces prez. Reagana w Kongresie.** Otóż Senat dał akceptację na proponowane dostawy dla Arabii Saudyjskiej samolotów wczesnego ostrzegania radarowego „AWACS". Przed podjęciem obrad Komitet Spraw Zagranicznych Senatu przyjął rezolucję, postulującą odrzucenie wniosku Białego Domu. I wtedy zaczęły się liczne zakulisowe rozmowy...

Wiadomość o finale sprawy zaalarmowała poważnie Izrael, którego rząd na specjalnym posiedzeniu poddał decyzję Senatu ostrej krytyce, stwierdzając, że Arabia Saudyjska znajduje się w stanie wojny z Izraelem, przeciwstawia się porozumieniom z Camp David i finansuje ruch palestyński.

Co chciał osiągnąć Reagan? Zjednać sympatię Arabii, będącej głównym dostawcą ropy dla USA i poprzez nią części świata arabskiego. To chyba główne motywy...

W. SŁAWSKI

NA CO MOŻEMY LICZYĆ?

Dalszy ciąg ze str. 1

skierować kuchnie wojskowe i inny sprzęt na Widzew. Nie sądzę jednak, żeby zaistniała wtedy taka potrzeba. Wtedy mieszkało na Widzewie-Wschodzie niewiele więcej jak 20 tys. ludzi, dzisiaj mieszka prawie 50 tys. A wtedy? Zostali na Widzewie tylko ci ludzie, którzy nie mieli nikogo z bliskich w innych rejonach miasta. Większość mieszkańców osiedla — wiem dobrze, bo bywałem tam codziennie — przeniosła się do przyjaciół, do krewnych... Tak, że nie sądzę, żeby była taka potrzeba.

— Panie prezydencie, zostawmy zatem te niemiłe wspomnienia, które pan inaczej i ja inaczej widzimy...

— Panie redaktorze, to był okres, w którym zacząłem pełnić funkcję prezydenta. To był mój chrzest bojowy. Osobiście uważam, bez cienia zarozumialstwa, że Łódź przeszła dobrze przez ten okres, o wiele lepiej, niż wszystkie pozostałe wielkie miasta w Polsce...

— Załóżmy jednak, że przyszłość rysuje nam się w niewiele różowszych barwach że czeka nas znów sroga zima. Kataklizm może się powtórzyć na każdej z naszych kamiennych pustyń, prawda? Może porazić całą Łódź? Co wówczas?

— Mieszkańcy Łodzi — jak i całego kraju — są już tak zmęczeni obecną kryzysową sytuacją i tak podenerwowani, że uważam, iż nie powinniśmy ich dodatkowo denerwować i dręczyć czarnymi proroctwami!

— A jednak...

— Jak będzie? Mieszkańcy miasta muszą mieć w tym względzie zaufanie do władz. Naszym obowiązkiem jest myślenie o tym wszystkim, o czym pan mówi. My zaś na ogół wiemy, co trzeba robić. Uważam, że w sprawie „zimy" jest kilka podstawowych spraw. Pierwsza — absolutnie pierwszoplanowa — to opał, to ciepło, o którym tyle sobie powiedzieliśmy. Mamy nieźły stan zapasów węgla w elektrociepłowniach. Nie jest może tak dobry, jak w zeszłym roku, ale nie o tyle mniejszy, aby to mogło grozić jakimiś zakłóceniami...

— To znaczy, na ile dni mamy zapas?

— Różnie to wygląda w poszczególnych elektrociepłowniach. Mamy w 80—90 proc. zapełnione magazyny.

— Oznacza to od dwóch do trzech tygodni pracy elektrociepłowni?

— W przypadku EC-IV jest to nawet przeszło miesięczny zapas. W razie konieczności możemy ten węgiel przerzucić do innych ciepłowni, liczymy jednak na bieżące dostawy węgla do Łodzi.

— Następna sprawa, to zaopatrzenie w żywność.

— Robimy wszystko, aby zgromadzić odpowiedni zapas mąki dla miasta. Mąka — jak wiadomo — musi leżakować 12 do 14 dni. Rzecz jednak nie tylko w jakości pieczywa. Jest to również sprawa żelaznego zapasu mąki wobec ewentualnych kłopotów z transportem czy energią, bez której przecież młyny nie mogą mleć zboża. Ten zapas musimy odbudować do końca października, aby nie obawiać się zimy. Powinno nam się to udać. Chleb zatem będziemy mieli. Zrobimy też wszystko, aby zagwarantować miastu również i zimą ciągłość dostaw mleka.

— Czy z powyższych uwag mogę wyciągnąć wniosek, że władze miasta, nie czekając na odgórne instrukcje i dyrektywy, wypracowują bądź już wypracowały własną strategię zimową?

— Oczywiście.

— Co ta strategia gwarantuje przeciętnemu łodzianinowi? Na co może on liczyć, zwłaszcza w warunkach skrajnych, kiedy to na nasz powszedni kryzys nałoży się zimowy kataklizm?

— Może liczyć na zagwarantowanie podstawowych warunków do życia, a więc — ciepłego mieszkania i niezbędnych artykułów żywnościowych. Oczywiście, gdyby doszło do zimowego załamania gospodarki przewidujemy zastosowanie doraźnych, awaryjnych posunięć... Na przykład?... Gdyby zapasy węgla zmalały do alarmujących rozmiarów, zrezygnujemy z dostarczania do bloków ciepłej wody.

— Wówczas jednak wzrośnie zużycie prądu i gazu.

— Na pewno, ale to jest odrębne zagadnienie. Najważniejsza jest dla nas sprawa ogrzania mieszkań, któremu to celowi podporządkować musimy inne elementy planu przetrwania zimy.

— Ciepło jest więc tym, czego nie może nam zabraknąć w nawet najbardziej skrajnej sytuacji. Co jeszcze?

— Jak już powiedziałem — żywność. Ludzie nieraz denerwują się, że w tym czy innym magazynie jest za dużo mąki czy cukru. No i co z tego? Miasto w normalnych warunkach musi mieć żelazne zapasy co najmniej na okres trzech miesięcy. Tak się robi na całym świecie. Niestety, nie udało nam się dotąd tego odrobić.

— Czy są jakieś szanse?

— Pod względem zaopatrzenia w mąkę, kasze, cukier — tak. Oczywiście, nie ma żadnej szansy na odrobienie rezerw mięsa i przetworów.

— Zakładamy więc, że przeciętny łodzianin będzie miał zagwarantowane zimą minimum egzystencji. Jeśli nie dojdzie do jakiegoś kataklizmu, łodzianin będzie również pracował...

— Przemysł łódzki jest w znacznie lepszej sytuacji, niż w innych aglomeracjach. W 70 bodaj procentach zasilany jest w energię elektryczną i cieplną, w parę technologiczną przez miasto. Dlatego też w rozmowach z resortem chemii i przemysłu lekkiego zabiegamy o zapewnienie naszym zakładom przemysłowym surowca na całą zimę. W innych rejonach kraju może być przecież tak, że fabryki staną z powodu braku węgla. A u nas i tak grzejemy, i tak spalamy węgiel, aby ogrzać miasto. Przemysł więc może i powinien pracować. Trzeba zatem tak przemieścić w kraju surowce, aby łódzki przemysł pracował bez zakłóceń.

— Zgoda, ale do pracy trzeba dojechać, trzeba też z niej wrócić...

— Mamy pewną ilość sprzętu odśnieżającego w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania, które ma ponadto zawarte umowy z różnymi przedsiębiorstwami transportowymi. Przedsiębiorstwa te zobowiązane są do pewnych...

— ...szarwarków na rzecz miasta. Ze świadczeniami tymi były jednak zawsze kłopoty, które pewnie się jeszcze nasilą, bo kryzys — to raz, a dwa — postępy w samodzielności i samorządności przedsiębiorstw.

— Samorządność przedsiębiorstw jest przez nas absolutnie respektowana, ale świadczenia wobec miasta muszą obowiązywać, bo ja też mam sankcje. Nie może być tak, że zakład stwierdzi: co nas tam miasto obchodzi! Ja też mogę powiedzieć, że mnie ten czy inny zakład nie interesuje. To jest sprawa ścieków i wody, energii i ciepła. Ja mogę — na przykład — spowodować, że zakład będzie płacił za energię trzy razy więcej, niż inne przedsiębiorstwa. I wtedy samorząd sam rozstrzygnie, co się bardziej opłaca. Pewnie zdecyduje, że lepiej podstawić dla miasta odpowiednią ilość sprzętu...

— Rzecz nie ogranicza się tylko do sprzętu, ale obejmuje również ludzi...

— Tak, skrzyżowania ulic czy torowiska tramwajowe też po części znajdują się pod opieką zakładów pracy. Nie jest to sprawa nowa. Wszyscy wiedzą, co leży w zakresie ich obowiązków. Tak było zawsze i tak być musi, bo służby miejskie wszystkiego nie ogarną.

— Komunikacji miejskiej nikt jednak nie wyręczy.

— Mamy tramwaje i autobusy. Trakcja tramwajowa jest dobra. Myśmy też na szczęście w Łodzi nie pogłupieli: utrzymaliśmy trakcję tramwajową, nieustannie ją rozwijamy. Przykładem właśnie Widzew-Wschód czy osiedle na Retkini...

— Zimą tramwaje jednak często zawodzą.

— Niestety, silniki w tramwajach podczas opadów deszczu czy śniegu często się palą, są bowiem nisko umieszczone i niedostatecznie zabezpieczone przed wilgocią. Sygnalizowaliśmy to od dawna konstruktorom z „Konstalu", ale ciągle jest, jak jest. Uczciwie więc stawiam sprawę: boję się o trakcję tramwajową, zwłaszcza że zapasowych silników nie mamy. Dlatego też cały rok zabiegamy w przemyśle łódzkim — którego pracownicy korzystają przecież z miejskiej komunikacji — żeby przyszedł on z pomocą MPK, żeby produkował części zamienne. Wiem, że to uciążliwe i nieopłacalne, ale nie ma wyjścia: musimy ratować się we własnym zakresie. Spotkałem się z dyrektorami ponad 30 zakładów elektromaszynowych. Omówiliśmy wszystkie potrzeby i możliwości. MPK jest w stałym kontakcie z nimi, przekazuje dokumentację, dopracowuje szczegóły techniczne. Liczę, że przemysł łódzki nie zawiedzie. Jak pan pamięta, w 1979 roku...

— ...nawet „Elta" potrafiła w ekspresowym tempie przewijać silniki tramwajowe. Tak, ale ja wciąż snuję swoje czarne wizje...

— Trudno, zaraz do nich wrócimy, przedtem jednak kilka zdań na temat trakcji autobusowej. Jeśli chodzi o paliwo, to dla komunikacji miejskiej musimy mieć zabezpieczone pełne pokrycie, nawet gdyby trzeba było podejmować bardzo drastyczne decyzje.

— Na przykład wyeliminować z ruchu prywatne samochody?

— Niestety. To pierwsza sprawa. Druga — to tabor. Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że do końca roku otrzymamy 110 „Ikarusów". Znakomite autobusy, a poza tym nowe, zatem bez braków w ogumieniu itp. W zeszłym roku — przypomnę — dostaliśmy też 100 takich autobusów.

— Mamy jednak chyba świadomość, że szczególnie ciężkie warunki atmosferyczne mogą wyłączyć z ruchu sporą część taboru, jak stało się to tamtej niefortunnej zimy. Czy — na przykład — w skrajnej sytuacji sięgnie się po zakładowe środki transportu?

— Mamy ścisłą ewidencję autobusów, którymi dysponuje łódzki przemysł. Jeśli zajdzie taka potrzeba, sięgniemy i po nie. Pozostanie tylko do rozwiązania kwestia, czy włączyć je do miejskiej sieci czy tworzyć zakładowe trasy przewozowe. Ja sam jestem za tym drugim wariantem...

— Słowem, co pesymistyczne pytanie, to optymistyczna odpowiedź?

— To, co powiem, nie jest na pewno popularne. Ja się urodziłem i wychowałem na Młynku. Tramwaj był wtedy na ul. Rzgowskiej. Miałem do przystanku 45 minut. Tak mieszkając, skończyłem szkołę podstawową i średnią. Codziennie 45 minut w jedną stronę i 45 minut z powrotem dochodziłem do tramwaju. I jak dotąd mam niezłą kondycję fizyczną. Przepraszam bardzo, ja wiem, że ludzie się spieszą, że są strasznie zagonieni, że są kolejki, że to wszystko zabiera im mnóstwo czasu. To wszystko prawda, robię też wszystko, co w mojej mocy, żeby ulżyć ludziom w ich codziennych kłopotach... Ja to wszystko rozumiem, ale w sytuacji, kiedy nie ma już innego wyjścia, liczyć się z tym musimy, że tramwaj czy autobus nie podwiezie nas pod sam dom. W skrajnej sytuacji będziemy się starali utrzymać trakcję autobusową, która jest praktycznie najpewniejsza. Autobusy będą kursować z osiedli łódzkich do dzielnic przemysłowych i rejonów śródmiejskich. I stąd trzeba będzie iść pieszo do swojego domu czy miejsca pracy. Liczę jednak, że do tego nie dojdzie...

— Faktycznie, może nie będzie tak tragicznie. Może zima będzie normalna, względnie więc normalnie będzie funkcjonować energetyka, ciepłownictwo, komunikacja. Mimo wszystko, zima da nam się we znaki, jak rzadko która. Da się nam we znaki ze względu na anormalność naszego życia, naszej powszedniości Jaką Pan prezydent widzi szansę uchronienia nas...

— Tu chce pan pewnie poruszyć bardzo istotną sprawę: kolejki, prawda?

— Tak.

— Właśnie, zimą i ja najbardziej boję się kolejek. Niestety, nie łudzę się, abyśmy je mogli zlikwidować na czas zimy. Reglamentacja dobrze funkcjonuje w artykułach jednorodnych, nie ma więc większych zakłóceń w sprzedaży masła, mąki, kaszy, cukru. Największe kolejki są, oczywiście, po mięso i jego przetwory. Kartki to jest, niestety, wojenny system. U nas został jednak zmodyfikowany. Gdyby były tylko dwa czy trzy gatunki wędlin, gdyby była — powiedzmy — tylko rąbanka, wówczas bylibyśmy w stanie rozwiązać sprawę. nocna dostawa do sklepu, rano personel wszystko porcjuje, przygotowując jednakowe paczki, które w dwie czy trzy godziny sprzedaje. I nie ma kolejek. Ja jednak nie jestem władny rozwiązać sprawy w ten sposób, zresztą ludzie pewnie nie zgodziliby się. Trzeba zatem szukać innych dróg. Jeśli poprawi się sytuacja w skupie, a musi się poprawić, to pójdziemy bardzo szeroko na przygotowywanie paczek z miesięcznymi przydziałami mięsa i przetworów. Na podstawie obserwacji tych 7 sklepów, które pracują już w Łodzi, stwierdzamy że jest to bardzo dobra forma, pod warunkiem, że są wszystkie gatunki. Nie wolno przecież ludzi oszukiwać: jeśli decydują się na paczkę, to muszą dostać wszystko to, co im się należy. Następna sprawa: będziemy się starali wprowadzić kolejki pod dach, do wnętrza sklepu...

— Nawet na noc?

— No nie, takiej możliwości nie przewiduję. Tym bardziej że nie widzę potrzeby, żeby na noc stać.

— Niestety, przeciętny obywatel powie, że taką potrzebę dyktuje nasza rzeczywistość. Jeśli raz, drugi czy trzeci wybiorę się do sklepu o „przyzwoitej" porze, czyli w godzinach rannych, a po kilkugodzinnym sterczeniu w kolejce odejdę z przysłowiowym kwitkiem, to za czwartym razem na pewno już ustawię się w kolejce nocą bądź nawet wieczorem. Jest to na pewno błędne koło, napędzane przez ludzi, ale nie przez nich stworzone...

— Gdyby były paczki dla wszystkich, błędne koło zostałoby przerwane...

— Panie prezydencie, wobec tego jaki jest Pana stosunek do podejmowanych coraz szerzej przez zakłady pracy akcji paczkowych?

— Reprezentuję pogląd, że handel jest po to, żeby zabezpieczyć mieszkańcom Łodzi wszystkie potrzeby tego typu, a zakłady pracy powołane są do tego, żeby produkować.

— Pogląd zbliżony zatem do stanowiska Zarządu Regionalnego „Solidarności".

— Tak, koledzy z „Solidarności" mają rację, stwierdzając, że nie ma takiej możliwości, aby wszystkie zakłady pracy zapewniły swoim pracownikom realizację kartek. Uważam, że sieć handlu detalicznego powinna spełniać funkcję, do której została powołana...

— Niestety, spełnia ją fatalnie!

— Ja tu nie wnoszę pretensji do pracowników handlu. Handlują przecież tym, co mają. Jak by było mięso, byłyby wędliny — nie byłoby sprawy. Reglamentacja tylko wtedy może funkcjonować prawidłowo, kiedy zapewnione jest pełne, regularne pokrycie na wszystkie kartki. Zresztą, kolejki ustawiają się nie tylko po towary objęte reglamentacją. Dzisiaj kupujemy wszyscy nie to, co faktycznie nam jest potrzebne, lecz co możemy akurat dostać. Nikt dziś nie chce trzymać pieniędzy. I to jest podstawowa sprawa.

— Zgoda, ale biednym, umęczonym, udręczonym ludziom, bombardowanym nieustannie oficjalnymi enuncjacjami i zapowiedziami — trudno się dziwić, jeśli nawet sprawiają wrażenie, że całkiem pogłupieli. Co innego, gdyby państwo — na przykład — zamiast straszyć ich wciąż podwyżkami, zagwarantowało wreszcie rewaloryzację wkładów oszczędnościowych, prawda?

— Ma pan po części rację, ale nie oszukujmy się, regulacja cen musi nastąpić, rzecz zaś nie w cenach, lecz w rekompensatach.

— Temat to jednak na odrębną rozmowę, my zaś wróćmy jeszcze do mięsa. Czy nie można by usprawnić sprzedaży mięsa i wędlin inną drogą? Myślę o wcześniejszym ich porcjowaniu, które najwięcej pochłania czasu, wydłużając kolejki i czas obsługi jednego klienta.

— Tak, trzy- czy nawet czterokrotnie.

— Wiem, że zakłady mięsne zasłaniają się — na przykład — brakiem folii do pakowania, którą też ponoć importowaliśmy. A przecież niekoniecznie trzeba pakować, wystarczy porcjować według kartkowych nominałów, żeby usprawnić sprzedaż, skrócić kolejki, które obsługiwane są — z konieczności — w żółwim tempie. Zakłady mięsne...

— Ja pominąłbym w tych rozważaniach zakłady mięsne. Jest to problem, z którym powinno sobie poradzić WSS „Społem". Liczę tu na samodzielność i samorządność, jaką gwarantuje mu reforma. Liczę na to, że owe trzy „S" zmuszą WSS „Społem" do przesunięcia etatów z administracji do handlu detalicznego.

— O ile to wszystko nam zaowocuje, to i tak nie wcześniej niż na przedwiośniu.

— Zgoda, ale ja wrócę z uporem do sprawy paczek, bo to w zasadzie ten sam problem. Tyle że musi być odpowiednia podaż i to we wszystkich gatunkach.

— Słowem, błędne koło.

— No, nie. Wydaje mi się, że mamy w Łodzi pewien postęp. Codziennie sprawdzam wielkość dostaw, codziennie też przed pracą obserwuję kolejki. Dostawy są dużo lepsze, a z kolejkami też różnie bywa. To nie jest tak, że godzinami się czeka na jakikolwiek kawałek mięsa czy wędliny. Zdarza się, że kolejka czeka pod sklepem, aż dowiozą lepsze gatunki, a nie wpuszcza do sklepu tych, którzy chętnie zadowoliliby się nawet gorszym gatunkiem. Tak to często wygląda...

— Okazuje się, że nieustanne nękanie pytaniem, że idzie zima, a ludzie będą stali i marzli w kolejkach — nie prowadzi do niczego konkretnego... Może więc przejdę do pytań szczegółowych. W zimowym programie oszczędności energii elektrycznej na pierwszy ogień zwykło iść oświetlenie uliczne, a zmrok zapada już bardzo wcześnie. Im ciemniej, tym niebezpieczniej, zwłaszcza wobec tak potwornego rozkwitu bandytyzmu i chuligaństwa...

— Ograniczenia są nieuniknione, ale specjalny zespół wnikliwie zbadał ten problem i ustalił, gdzie oświetlenie jest niezbędne. Ruchliwe skrzyżowania, przystanki tramwajowe i autobusowe, miejsca szczególnie niebezpieczne — będą chronione przed wyłączeniami. Chyba że będą wielkie kłopoty z energią, wtedy koncentrować się będziemy na ochronie mieszkań, które mają i będą miały absolutny priorytet... A skoro o tych ostatnich mowa, chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do spraw ogrzewania. Mówiliśmy przez cały czas o tym, czego ludzie oczekują od władz...

— A czego władze oczekują od ludzi?

— Otóż, wszyscy marnujemy ciepło. Muszę podjąć taką decyzję, że nie będziemy uznawali, nie będziemy przyjmowali do wiadomości żadnych skarg w sprawie niedogrzania mieszkania w przypadku, gdy kontrola wykaże, że lokator nie raczył uszczelnić na zimę okien i nie przyjmuję do wiadomości, że brak jest materiałów uszczelniających, bo w skrajnym przypadku okno można uszczelnić gazetą, posmarowaną klejem, zrobionym z mąki. Jak człowiek musi nabrać węgla, zanieść go na górę, w piecu napalić, to robi wszystko, aby kawałka węgla na próżno nie spalić. A w blokach? Jak ja płacę tyle samo, niezależnie od zużycia ciepła, to co mnie obchodzi, że grzeję ulicę?...

— Jest to temat, który znów moglibyśmy ciągnąć długo, bo przecież wiadomo, że największe straty ciepła są efektem naszego fatalnego budownictwa, kiepskich technologii i jeszcze gorszego wykonawstwa.

— Bezsprzecznie.

— Z pytań szczegółowych kolejne: dzisiaj na Retkini znów nie było rano chleba, wczoraj dla odmiany — na Górnej, chociaż nie ma jeszcze żadnych powodów do zakłóceń.

— Nie wiem, co się stało, sprawdzę, może była jakaś awaria. Generalnie nie mamy złej sytuacji. Nie ma — na przykład — żadnych przeciwwskazań, żeby prywatne piekarnie pracowały w systemie dwuzmianowym. Mamy 83 piekarnie, które na dwie zmiany mogłyby dawać codziennie ponad 160 ton pieczywa, co łącznie z 200 tonami, dostarczanymi przez piekarnie państwowe, stanowi znaczne przekroczenie potrzeb. Jeśli więc coś w produkcji czy dystrybucji chleba nawala, to nie w rezultacie obiektywnych trudności, lecz w wyniku najczęściej nieudolności lub niedbalstwa ludzi odpowiedzialnych za tę dziedzinę produkcji i handlu... Przyzna pan zresztą, że mamy odczuwalny postęp w galanterii piekarniczej i wyrobach cukierniczych. Produkcję tę będziemy nieustannie rozwijali, zwłaszcza że braki cukru i tłuszczów nie są już tak dotkliwe. Również i jakość pieczywa poprawiła się odczuwalnie w ostatnim czasie. Zasługa to niewątpliwa znakomitych załóg naszego piekarnictwa...

— Panie prezydencie, wspomniał pan wcześniej, że większość perturbacji rodzi się nie z przyczyn obiektywnych, lecz ze zwykłej ludzkiej nieudolności. Chciałbym przy tej okazji zapytać: bronił Pan zawsze na zewnątrz, co szefowi dobre wystawia świadectwo, swoich współpracowników i podwładnych, utrzymując, że kadrę ma Pan znakomitą. Jak jednak z tą tezą pogodzić ogromne ataki, jakie przypuszczano w ostatnim czasie — na przykład — na kierownictwo Wydziału Handlu? Czy ataki są bezzasadne, czy też Pan nie miał racji?

— Jeśli brakuje określonych produktów, jeśli brakuje mięsa, to szuka się winnych często nie tam, gdzie ich szukać trzeba. Najłatwiej atakować tych, którzy są w zasięgu ręki. A jaki wpływ ma Wydział Handlu na zaopatrzenie w mięso? Niewielki, to już raczej Wydział Rolnictwa, który wcale nie jest atakowany...

— Pretensje adresowane tutaj sprowadzają się jednak nie do tego, że towaru jest za mało, lecz że jest on źle, nieudolnie i po bałaganiarsku rozprowadzany...

— Panie redaktorze, gdyby to mięso było w dostatecznej ilości, to byłoby i dobrze sprzedawane. Nie chcę przez to powiedzieć, że kadra jest najlepsza, ale bez wątpienia w tych trudnych warunkach robi wszystko, co w jej mocy, aby zabezpieczyć podstawowe potrzeby mieszkańców Łodzi. Co nie oznacza, że nie dokonujemy zmian, że nie będziemy ich dokonywali. I w Wydziale Handlu dokonujemy pewnych przesunięć...

— Czy dyrektor tego wydziału ma wciąż pięciu zastępców?

— Nie, tylko dwóch.

— Faktycznie, to już ogromny postęp... Panie prezydencie, sądzę, że nasza rozmowa, która musi już dobiec końca, wywoła jakiś rezonans. O ile w jej rezultacie zrodzą się u naszych Czytelników jakieś pytania i wątpliwości, czy skłonny Pan jest kontynuować rozmowę w kolejnym wywiadzie?

— Oczywiście. Mnie także zależy na kontakcie — nawet pośrednim — z waszymi Czytelnikami, naszymi współmieszkańcami. Jeśli jednak można, chciałbym zakończyć tę rozmowę małym osobistym apelem: **W każdej trudnej sytuacji musimy sobie wszyscy pomagać. Od nas więc wszystkich zależy to, jak przetrwamy tę zimę, jak przetrwamy dotkliwy kryzys. Szczególnej życzliwości wymagają ludzie słabsi — samotni, chorzy, niepełnosprawni. Wiem, że wszystkim jest ciężko, że niełatwo jest apelować o dalsze wyrzeczenia i ustępstwa na rzecz innych. Tak, ale im właśnie — tym słabszym — będzie jeszcze trudniej, niż nam, przetrwać. Łatwiej, naprawdę łatwiej przetrzymamy trudne chwile, gdy będziemy wszyscy nawzajem dla siebie życzliwi i wyrozumiali. A jeśli w tej powszechnej życzliwości znajdzie się odrobina zaufania i zrozumienia dla nas, przedstawicieli władz, i nam łatwiej będzie spełniać na co dzień nasze odpowiedzialne i trudne powinności wobec społeczeństwa.**

Rozmawiał: JACEK INDELAK

O TYM SIĘ MÓWI. CO O TYM SĄDZISZ?

RYSZARD BINKOWSKI

CZYM ZATKAĆ DZIURĘ?

Budowie drugiej Polski towarzyszyło hasło: „Mieszkanie dla każdej rodziny". Fabryki domów, kupowane za granicą, dzięki którym miano owo hasło zrealizować, stoją dziś w większości nieczynne. Sporo jednak zbudowano. Gorsza sprawa, że domy wznoszono z myślą o niezwykłej potędze polskiego górnictwa. Dlatego też mamy dziś budynki mieszkalne nadające się akurat dla strefy podzwrotnikowej. Im nowsza, wspanialsza technologia, tym dom przewiewniejszy. W rezultacie nasze M-4 przepuszczają cztery razy więcej ciepła, niż np. w Danii. Wystarczy, że dmuchnie jesienny wiatr, a już możemy się pożegnać z przepisową temperaturą 18°, bo ciepło zostaje wywiane przez rzeszoto w ścianach, poprzez okna, drzwi i klatki schodowe. Fachowcy nawet wyliczyli, że 34 proc. ciepła ulatuje przez ściany, a 30 proc. przez okna.

A my nie mamy czym palić. Pogłębiający się deficyt węgla pociąga za sobą niedostatek energii elektrycznej. Aby ludność nie ucierpiała, sztab antykryzysowy zamierza unieruchomić najbardziej energochłonne zakłady. Można by tego uniknąć, gdyby nasze mieszkania były szczelniejsze. Niestety, na rynku nie ma nawet gumowych uszczelek. Stąd też ponad 30 proc. wytwarzanego w kraju ciepła idzie na ogrzewanie mieszkań.

W samej Łodzi znalazło się ponad dwa i pół tysiąca domów, w których trzeba wymienić pokrycia dachów. Gdyby zabrakło brygad remontowych, usługi te wykonaliby rzemieślnicy prywatni i spółdzielczy, ale nie ma papy, smoły i lepiku. W ponad 3 tys. łódzkich domów należy szklić klatki schodowe, piwnice i korytarze. Jednakże szkła okiennego również nie ma. Wobec tego dziury zatyka się szkłem ornamentowym, dyktą, tekturą, deskami i płytami pilśniowymi. A dziurawe dachy — emalią...

W tej sytuacji największym optymistą, a może nawet fantastą, jest minister E. Szyr, który ma nadzieję, iż sprawę załatwią nam krasnoludki. To znaczy, że w ciągu miesiąca wszystkie dziury zapchają harcerze. Papierem, watą, słomą i mchem. Można by też wykorzystać liście, ale chyba nie w miastach. Jak pamiętam, liśćmi ogacało się na wsi obory.

Nie ma jednak co żartować, bo w biedzie wszystkie środki są dobre. Najważniejsza jest oszczędność paliw i ciepła. Tylko nie wiem, czy można oszczędzać kosztem społeczeństwa. Mówi się np. aby przy gotowaniu wody na herbatę nie stawiać na kuchni pełnego czajnika. W ten sposób oszczędzamy gaz. Ale z kolei wiadomo, że w kraju będzie brakować około 2 tys. gigakalorii, w tym w Łodzi 120 gigakalorii. Niedostatek ciepła i ciepłej wody spowoduje, że ludzie będą podgrzewać na gazie wodę do prania i mycia. Będą też palić gaz w celu dogrzania mieszkania, bo na szczęście i nieszczęście zarazem w żadnym sklepie nie kupi się grzejnika elektrycznego. Jeżeli do tego dodamy, że wskutek deficytu węgla w kraju zabraknie 2 mln ton koksu, to rzecz jasna będzie również odpowiednio mniej gazu. Dlatego też niewielką pociechą jest zapowiedź uruchomienia nowego gazociągu Turek — Łódź.

Można natomiast zatkać deficytową dziurę, oszczędzając węgiel w gospodarce narodowej. Zły załadunek i zepsute wagony powodują, iż rocznie podczas transportu ginie ponad półtora miliona ton węgla. Myślę jednak, że w dobie kryzysu ludzie pozbierają do worków węgiel rozsypany wzdłuż torów kolejowych i na stacjach.

Szkoda, że zbyt późno zmobilizowano do żywszej działalności polsko-węgierską spółkę „Haldex", która specjalizuje się w odzyskiwaniu węgla z hałd. Nie uruchomimy też zakładu produkującego brykiety z węgla brunatnego. Brakuje czasu na opracowanie technologii i zbudowanie fabryki wytwarzającej brykiety opałowe ze śmieci, którymi pali się w kotłowniach elektrowni i ciepłowni na Zachodzie.

Istnieje jednak olbrzymia rezerwa paliw, wciąż nie wykorzystana, którą można uruchomić od zaraz, bez specjalnych nakładów. Pamiętam, że w dzieciństwie ojciec wynajął od rolnika konia z wozem i pojechaliśmy do lasu zbierać gałęzie na opał. Potem przywożono do nas trociny z pabianickiej stolarni. Pamiętam, że w okolicach Pabianic kopano nawet torf na opał. Pamiętam także, iż w lutym tego roku wiceprezydent Krowiranda apelował do drobnych hodowców, by zabierali z lasu łagiewnickiego tzw. wiatrołomy, przydatne do budowy chlewików. Wzrosła liczba hodowanych świń, ale drzewa z lasu nie zabrano, chociaż przydałoby się w gospodarstwie. Jeśli nie na chlewy, to przynajmniej na opał.

Szacunkowo w kraju zużywa się rocznie na opał 1,5 mln metrów sześc. drewna. Można by spalać jeszcze raz tyle, oszczędzając około 200 tys. ton węgla, ale sprawa nie jest taka prosta. I to nie tylko z braku szacunku dla węgla, jak usiłują nam wmawiać niektórzy eksperci, chociaż prawdą jest, iż za gęś można kupić tonę węgla po państwowej cenie.

Nie wiem, skąd fachowcy biorą dane liczbowe. Jeśli jednak im wierzyć, to w Polsce jest 9 mln pieców i 6,5 mln kuchni, w których spala się ok. 20 mln ton węgla rocznie, głównie na wsi. Najlepsze są takie urządzenia, w których kocioł c.o. służy do ogrzewania, a kuchnia do gotowania Ponieważ jednak do kotła brakuje koksu, pali się węglem. A w kuchniach, gdzie można spalać drewno, używa się także węgla. I taki model urządzeń ogrzewczych rozpowszechnił się już na wsi.

Ale to nie wszystko. Otóż na początku dekady Gierka uznano, że należy zlikwidować drewno jako środek opałowy. W związku z tym zakłady w Chojnowie, produkujące bardzo dobre piece typu „Żar" przestawiono na inną produkcję. Później musieliśmy kupować piece w NRD, a ostatnio kuchnie z Węgier. Większość pieców w Polsce jest złej jakości i spala się w nich przede wszystkim węgiel. To też skutki wiary w niezachwianą potęgę górnictwa. A poza tym niemal całkowicie zaginął w Polsce zawód zduna.

Gdyby zwiększyć moc grzewną pieców tylko o 5 proc., można by zaoszczędzić 1 mln ton węgla. Warto to zaznaczyć, że dla zaspokojenia potrzeb hodowców trzody chlewnej, dzięki czemu mógłby wzrosnąć skup żywca, potrzeba 2 proc. wydobywanego rocznie węgla, a więc około 3,5 mln ton. Nie da się bowiem ukryć, że do parowania ziemniaków i suszarnictwa, a także do szklarni nadaje się tylko węgiel. Koksu do szklarni nie ma.

I dlatego mamy takie obrazki na wsi: ze Śląska przyjeżdżają do geesów samochody z węglem, a odjeżdżają z żywnością. Na placach leżą kupy miału, który rolnicy skrzętnie ładują na wozy. Płacą za pierwszy gatunek. Ani chłopi, ani prezesi geesów nie protestują, bo mogliby nie dostać nawet miału.

U ogrodników leży lepszy węgiel, także prosto ze Śląska. Ale ogrodnicy płacą już po cztery tysiące złotych za tonę. Gdyby chcieli używać drewna, musieliby czuwać w szklarniach przez okrągłą dobę. Cierpi na tym społeczeństwo, gdyż siłą rzeczy ceny warzyw i kwiatów muszą być wysokie. Myślę jednak, że w małych szklarniach i w tunelach foliowych dałoby się wykorzystać drewno.

Wieś będzie musiała skorzystać z drewna. Chociażby dlatego, że rozpowszechniły się tam kuchenki gazowe. Teraz jednak, gdy gaz bezprzewodowy zaczyna się importować, trzeba będzie palić w zwykłych kuchniach, gdyż gazu w butlach i tak będzie za mało.

Swego czasu na wsi zyskały na popularności tzw. trociniaki, w których palono jednak węglem lub miałem zmieszanym z drewnem. Kilka lat temu zaniechano produkcji trociniaków. Dziś wiele zakładów zaczyna wracać do ich produkcji.

Trociniaki były niepotrzebne, ponieważ pegeery karmiące bydło brykietami ze słomy zaczęły używać trociny na ściółkę. Mimo to do dziś w większości tartaków leżą olbrzymie hałdy trocin i kory. I gniją. Żeby jednak na placach nie zabrakło miejsca, część odpadów Przedsiębiorstwa Przemysłu Drzewnego muszą wywozić na wysypiska albo zwalać po kryjomu w lasach, zasypywać do dołów po wybranych kruszywach, albo gdzieś do rzeki lub jeziora. Dopłacają do tego interesu dziesiątki milionów złotych rocznie, bo wywózka kosztuje. Wydaje się więc, że zamiast czekać na samodzielność, tartaki już dziś powinny robić z drewna odpadowego wiązki, wystawiać opłacalne dla siebie ceny i albo sprzedawać na miejscu, albo przekazywać wiązki na składy opałowe w gminach i w miastach.

Co się zaś tyczy trocin, to myślę, że elektrownie i ciepłownie miejskie w kraju winny wziąć przykład z Opolskiego. Jak podała „Trybuna Ludu" miesza się tam 20 proc. trocin z miałem węglowym. Dzięki temu podobno w kędzierzyńskiej kotłowni roczne zużycie węgla maleje o 750 ton.

Ale największe rezerwy leżą wciąż w lasach. Chodzi tu o drzewa powalone, o pozostawione na zrębach grube konary, o drzewa chore, niszczone przez szkodniki. 1 m sześc. takiego drewna ma wartość opałową połowy tony węgla, a kosztuje tylko 80 zł. Po 1 stycznia może być o wiele droższe. Należałoby więc śpieszyć się z kupnem. Wieś jednak nie kwapi się z tym, gdyż decydują względy, o których już wspominałem. Ale są jeszcze inne. Nie wszędzie chłopi znają warunki nabywania tego opału. Jest tani, lecz trzeba go zabrać z lasu własnymi siłami. Właściciele dużych gospodarstw (podobnie jak i piekarze, którzy otrzymują tylko 30 proc. węgla) nie mają na to czasu. Chłoporobotnicy zaś nie mają transportu, gdyż w dobie mechanizacji wieś wyzbyła się koni, nie otrzymując w zamian traktorów. Byłoby więc dobrze, aby nowo powstałe koła ZMW zamiast organizować zlazy turystyczne i seminaria, na których dyskutuje się o odrodzeniu kultury i pracy od podstaw, zaczęły właśnie od podstaw, czyli od zorganizowania zbiórki opału w okolicznych lasach. Ponadto w każdej wsi jak najszybciej powinny się odbyć zebrania upowszechniające korzystanie z leśnego bogactwa, z udziałem przedstawicieli leśnictwa, związków zawodowych, GS i SKR. Być może „Solidarność" wiejska dogada się z miejską i wspólnymi siłami uda im się zebrać drewno i przetransportować do zagród chłopskich. Być może zbierania i transportu drewna podejmą się SKR, które po zakończeniu prac polowych mogłyby z powodzeniem świadczyć takie usługi.

Służba leśna z powodu braku ludzi do pracy nie jest w stanie wykonać tych zadań. Trudności w zorganizowaniu specjalnych ekip do pracy przy pozyskiwaniu drewna opałowego związane są z kwestią funduszów oraz tego, kto i jakie stawki ma płacić. Może by więc wykorzystać do tych prac więźniów?

Zwalniani przedterminowo żołnierze często wracają do jednostek, nie wytrzymując trudów pracy w kopalni. Robota w lesie jest trochę lżejsza i przyjemniejsza. Jak mi wiadomo, wojsko ma się zająć akcją pozyskiwania drewna. Tak więc, przy dobrej organizacji i ekonomicznym myśleniu, można będzie częściowo zatkać tę deficytową dziurę, jaka powstała w zasobach paliw i energii.

O wiele trudniej będzie zapełnić półki sklepowe. Kolejek nie uniknie my i dlatego tej zimy przed sklepami winny się znaleźć metalowe kosze ogrzewcze. Tylko skąd wziąć koks?

ŚRODA, 28 PAŹDZIERNIKA, W POŁUDNIE • ŚRODA, 28 PAŹDZIERNIKA, W POŁUDNIE

GODZ. 10.00. W dyrekcji nikt nie wie na pewno, czy strajk się odbędzie. Niektórzy są przekonani, że nie, bo w Kombinacie nie ma żadnych konfliktów między działającymi tu związkami. Nie ma także konfliktu pomiędzy załogą a dyrekcją.

W Komitecie PZPR Budowy Zagłębia Górniczo-Energetycznego I sekretarz, Tadeusz Rutowski, na moje pytanie o strajk kiwa przecząco głową: **„Nie, u nas nie będzie żadnej przerwy w pracy. Nie ma powodu".**

Przewodniczący Rady Zakładowej Zw. Zawodowego Budowlanych, Jan Strzelczyk, jest także optymistą, ale oświadcza, że Zarząd Kombinatu odcina się od strajku i jeśli takowy jest planowany, to go nie popiera.

Zapytany o strajk Andrzej Chwalewski z „Solidarności" Zarządu Kombinatu nie wypowiada się jednoznacznie.

GODZ. 11.00. W pokoju Zarządu Bełchatowsko-Pomorskiego Kombinatu Budowy Elektrowni „Solidarność" rozmawiam z Ryszardem Wojciechowskim, członkiem Zarządu Regionalnego Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność" i Waldemarem Kikiem. Mówią: „Nie bierzemy udziału w lokalnych akcjach strajkowych zgodnie z zaleceniem I Krajowego Zjazdu „Solidarności", natomiast całkowicie podporządkowujemy się akcji protestacyjnej KK. Proszę dobrze zrozumieć, to nie jest strajk, to jest akcja protestacyjna. Żadne dotychczasowe akcje indywidualne przeprowadzane przez poszczególne Zarządy Regionalne nie przynoszą konkretnych efektów i wręcz szkodzą związkowi. My się nie możemy rozdrabniać. Weźmy dla przykładu to, co jest w Piotrkowie. Chodziło tam o sprawę zaopatrzenia w mięso. My rozumiemy, że mięsa nie ma i aby go dać Piotrkowowi, trzeba by zabrać z innego okręgu. Dzisiejsza akcja protestacyjna zacznie się punktualnie o 12. Ma ona na celu poparcie dla wniosków KK. U nas na pewno stanie: kopalnia, elektrownia, oraz wszystkie zakłady budujące elektrownię. Wyjątek stanowią te odcinki budowy, gdzie praca odbywa się w ruchu ciągłym: betonowanie elementów, rozruch głównego bloku, stołówki, służby zdrowia, mleczarnia w Szczercowie. A straty z dzisiejszej akcji protestacyjnej będą i tak mniejsze od strat spowodowanych brakiem zaopatrzenia w żywność, brakiem materiałów, kolejkami w stołówkach..."

GODZ. 12.00. Gdzieś za mokrymi, jesiennymi lasami odzywa się syrena. Jej buczenie jest przytłumione, z trudem przenika przez mury.

Spoglądam z piętra na teren przyszłej elektrowni. Na parking zajeżdżają autobusy, lecz niektóre, po chwilowym postoju, ruszają w kierunku Bełchatowa. Będący ze mną w pokoju zastępca naczelnego inżyniera d/s generalnego wykonawstwa, inż. Edward Janson, mówi: **„Proszę popatrzeć, stanęły dźwigi pracujące przy kolejnych blokach elektrowni, na chłodniach opuszczono liny". — „Więc strajk?" — „Na to wygląda".**

Foto: R. Łucyszyn

Wejście do zajezdni tramwajowej od ul. Pabianickiej.

Wychodzę na siąpiący deszcz. Ruch na budowie nie ustaje. Przetaczają się samochody ciężarowe z cegłą, wywrotki coś tam zrzucają, co pewien czas, zewnętrznymi drogami jeżdżą samochody dostawcze.

Nadal nie wiem, czy strajk jest, czy go nie ma. Nagabywani przeze mnie ludzie nie chcą udzielać odpowiedzi, śpieszą się.

PO GODZ. 13.00 ponownie spotykamy Ryszarda Wojciechowskiego i Waldemara Kika.

— Ilu ludzi strajkowało? — pytam.

— 90 procent — odpowiada Wojciechowski.

— Objechaliśmy cały teren.

— Coś ty — mówi Kik — **co najmniej 95 procent.**

Odszukuję Jana Strzelczyka z ZZB. Mówi, że w samym Kombinacie jest około 1000 członków Zw. Zawodowego Budowlanych, którzy nie przerwali pracy.

W Komitecie PZPR otrzymuję do ręki teleks wysłany do sektora informacji KW: **„W dniu 28.10.81, w czasie strajku ostrzegawczego pracowano na bloku pierwszym bez przerw, obiekty betonowano bez przerw, na 17 zakładów zgrupowanych w Komitecie Budowy strajkowało 5, ale nie wszyscy. Ogółem na budowie strajkowało około 26 procent".**

Bez przerwy, podobnie jak w godzinach porannych i południowych, trwa ruch na drogach, tyle, że niektóre samochody jeżdżą z włączonymi światłami. Zapada wczesny zmrok i skuleni ludzie, w pośpiechu podążają na przystanek autobusowy.

E. J.

Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych, mimo tradycyjnej nazwy, produkuje od dawna również inne maszyny dla włókiennictwa. Skręcarki, przewijarki, teksturarki nie idą wprawdzie na polski rynek, ale dostajemy za nie rudę, bawełnę, ropę...

Tuż przed dwunastą pokój Komisji Zakładowej wypełnia się robotnikami z opaskami na rękach. Dlaczego strajkują?

— *Myśmy w fabryce na pierwszym miejscu postawili sprawę dostępu do publikatorów* — słyszę. — *Z liczb, jakie się nam podaje, wynika, że albo w rządzie oszukują albo nie umieją liczyć. Dlatego konieczna jest społeczna komisja dla kontroli władz. W systemie reglamentacji wszędzie przydziały muszą być równe.*

Lista jest długa i znana. W końcu ktoś przerywa twardo:

— *Nie jesteśmy od tego, żeby przedstawiać nasze motywacje. Przedstawiła je KK i my się podpisujemy.*

O dwunastej równocześnie słychać buczenie syren, dzwonki telefonów i głos z radiowęzła: „...Przypominam, że każdy ma prawo i obowiązek działać zgodnie ze swoim przekonaniem i sumieniem..." — *Słyszał pan?* — zwraca się jeden z członków prezydium, jakby chciał się upewnić. W „Majedzie" zamierzają rozegrać ten strajk uczciwie.

W przedstrajkowej sondzie na 772 pracowników pierwszej zmiany za tą formą protestu wypowiedziało się 675 (85,1 proc.), przeciw 110 (14,2), a 5 (0,7) wstrzymało się. Te proporcje odbijają przynależność załogi. Po Sierpniu 1200 ludzi (na 1450) wstąpiło do „Solidarności" (dziś to 85 proc. załogi).

Wicedyrektor *inż. Zdzisław Dutkiewicz* powiedział przed strajkiem: — *Załoga jest jedna, będzie solidarna... I to się niemal sprawdziło. Niemal, bo przytoczone liczby dają generalny obraz. W szczegółach wyglądał on tak:*

Fabryka nie ma oddziałów w ruchu ciągłym, ale w odlewni na dwunastą przypada zwykle spust. — *Długo musieliśmy przekonywać ludzi, żeby nie strajkowali, ale przekonaliśmy* — mówi *Janusz Maciejewski*, przewodniczący Tymczasowej Rady Pracowniczej.

Niektórzy członkowie „Solidarności" strajkowali z zastrzeżeniem: „Nie popieramy formy, ale chcemy być solidarni". Podobnie — w myśl hasła „robicie jak uważacie" — zachowała się grupa członków Związku Zawodowego Metalowców. Rada Zakładowa poparła apel swych władz.

Część „branżowców" pracowała w narzędziowni. I sekretarz POP (i członek „Solidarności") Edward Dmochowski mówi, że dlatego, iż odpowiedzialność tam jest duża a każda minuta droga niektóre maszyny muszą nagrzewać się pół godziny. Helena Maciołko, skarbnik ZZM (O sobie: „Jestem tylko z branżowych. Czytam „Rzeczywistość" i wydaje mi się prawdziwa") powiada, że w narzędziowni jest sporo „naszych", także wśród młodych. Ostatnio, po filmie w DTV o strajku w Lubogórze, pięciu stąd zapisało się do „metalowców".

Inaczej wśród montażystów. — Teraz jest tu już bardzo mało partyjnych — w głosie sekretarza brzmi nuta żalu (w całej POP z 320 zostało 242). W wielkiej hali montażu sekretarz bierze udział w ostrej dyskusji starszych robotników (niektórzy z nich po 20—40 lat w „Majedzie"). Rozliczenia nadużycia władzy, minimum socjalne, wysokie ceny szamponów, jakość pieczywa, nierentowność PGR, nieudolni dyrektorzy... i co tam jeszcze: tematy zmieniają się jak w kalejdoskopie.

— *Chodzi nam o to* — przekonuje mnie ktoś na koniec — *żeby rząd zaufanie złapał. Żebyśmy nie musieli strajkować.*

Piętro wyżej, nad halą, w pokoju kierownika, zgoła inna dyskusja. Wielka polityka przegląda się w małym, zakładowym lusterku: trwa nerwowa narada produkcyjna. „Majed" ma co prawda wykonany plan trzech kwartałów, ale teraz, właśnie na montażu, skutki fatalnej kooperacji (zła jakość bądź brak elementów) zagroziły produkcji. Ostatnio „Wifama" zerwała 5-letnią umowę na dostawy głowic. Gdy na dole „idą dyskursa tonem statystycznym", kierownictwo łamie sobie głowy nad sposobami rozwiązania palących problemów. Nie wszędzie więc strajkowa godzina musiała być stracona. Dyr. Dutkiewicz zapewnia mnie, że w „Majedzie" nie wpłynie ona na wykonanie kontraktów. Bardziej szkodzą niesumienni kooperanci i braki energii, o czym zapomina się na ogół w propagandzie antystrajkowej. W „Majedzie" musiano nawet ostatnio przestawić część wydziałów na nocną zmianę.

Czy strajk był potrzebny? Na ten temat — pełna rozpiętość opinii, a w każdej trochę prawdy. Na koniec kilka z nich:

J. Maciejewski: — Strajk był i jest jedyną formą zmuszenia rządu do zdecydowanych działań. Do tej pory nie ze strony władz nie wychodziło bez nacisków. Nic trafnego...

E. Dmochowski: — Tylko spokojem, logicznymi środkami może rząd to wszystko wziąć w garść... Nie wyobrażam sobie jego działań bez współpracy z „Solidarnością". A jeśli współpraca, to i współdecydowanie. Może uświadomi to strajk?

Z. Dutkiewicz: — Jestem przeciw strajkowi, bo przynosi straty. Ale u nas wspólny protest rodzi solidarność, która sprawdza się, gdy jest potrzeba bardziej intensywnej pracy. Wtedy i „solidarnościowcy" i „branżowcy" potrafią się mobilizować.

W. Maciołko: — Wszystkie akcje prowadzimy razem, z wyjątkiem dzisiejszej. My się dogadujemy. Dlaczego nie dochodzi do zbliżenia „na górze"? Mało o tym wiemy, „góra" trzyma to między sobą, nie dociera do „dołów". Mnie się zdaje, że ten strajk wszystkim nam pomoże, ludzie na oczy przejrzą. Bo jak długo jeszcze będzie trwać ta „gra nerwów"?

(T.S.)

CZEKAJĄC NA MEGAWATY

Dalszy ciąg ze str. 1

osobnionym. A ja właśnie chcę opisać działanie pozytywne, choć na dobrą sprawę, dalekie od ptymizmu. Chcę napisać o budowie prototypowej elektrowni wznoszonej w pobliżu kopalni węgla brunatnego.

Prasę codzienną obiegła notatka mówiąca o tym, że w Bełchatowsko-Pomorskim Kombinacie Budowy Elektrowni rozpalono ogień pod kotłem pierwszego bloku. Ta informacja zbiegła się z trwożliwymi prognozami na najbliższą zimę: a więc niedogrzanie mieszkań, wyłączanie prądu, braki ciepłej wody. Ale skoro lada dzień popłynie prąd do sieci państwowej z Bełchatowa, może jakoś przetrwamy, nie zamarzniemy, nie sięgniemy do świec. Słowem, w ludzi wstąpiła nadzieja.

Nadzieja jest siostrą ludzkich pragnień. W elektrowni optymizm jest więcej niźli umiarkowany. Oddano przecież zaledwie 1/12 całości przyszłej elektrowni, choć obiekty towarzyszące wykonano w 60 procentach. Ale pod słowem „oddano" nie należy rozumieć, że ten pierwszy blok już od dziś czy od jutra zacznie wysyłać tak potrzebne nam megawaty.

Roboty budowlane związane z rozruchem — zakończono. Budowlani do końca roku zamierzają nawet zasiać trawę na przylegających do pierwszego bloku trawnikach.

— To wcale nie jest żart, z tymi trawnikami — mówi z-ca naczelnego inżyniera d/s generalnego wykonawcy inż. EDWARD JANSON. — **Chcemy, aby wszystko było na swoim miejscu i żeby więcej nie wracać do pierwszego bloku, bowiem przed nami jeszcze takich bloków jedenaście. Owszem, będą pewne kłopoty z oddaniem części warsztatowych (budynki staną do końca br., natomiast wstawianie do nich maszyn może przedłużyć się na rok następny). Właściwie wszystkie budynki są wykonane i trwają jedynie prace wykończeniowe. My, budowlani, pracujemy trochę wyprzedzająco. Praktycznie wygląda to tak: oddaliśmy do eksploatacji dopiero pierwszy blok, ale wykonaliśmy już 60 procent prac związanych z całą przyszłą elektrownią. Np. wykonaliśmy całą pompownię, obiekty dla dekarbonizacji i demineralizacji wody kotłowej, budynki dla gospodarki olejowej, transportu, warsztaty, laboratorium, stołówkę itp. Szereg obiektów jest wykonanych przyszłościowo, nie tylko dla pierwszego bloku.**

To prawda. Stoi już komin żelbetonowy dla szóstego bloku (przewody stalowe wewnątrz kominów montowane są osobno dla każdego z bloków); stoi chłodnia nr 1 dla dwóch bloków; pierwszy ciąg nawęglania dla czterech bloków; stoją budynki laboratorium, szatnia i warsztat młynów dla sześciu bloków, cała gospodarka olejowa dla wszystkich dwunastu bloków; pompownia wody chłodzącej dla sześciu bloków itp. Czyli — zanim popłynie prąd — generalny wykonawca musi oddać inwestorowi do eksploatacji urządzenia dla kolejnych już bloków energetycznych, zaplanowanych na lata następne.

Równolegle z tym, budowlani wykonują prace budowlano-montażowe na blokach dwa i pięć, gdyż blok drugi będzie uruchomiony w przyszłym roku, blok trzeci — przekaże się do rozruchu także w przyszłym roku, natomiast bloki czwarty i piąty wchodzą do rozruchu dopiero w 1983 r. Zachodzi więc konieczność wykorzystania zgromadzonego na budowie specjalistycznego sprzętu. Np. dźwigi typu „Linden", „Peiner" oraz „BK-1000" muszą być wykorzystane do maksimum, bowiem jeden dzień pracy takiego kolosa kosztuje 60 tys. zł. A przecież na tym wielkim placu budowy znajdują się duże ilości konstrukcji i urządzeń, które należy w jak najszybszym czasie wykorzystać zgodnie z przeznaczeniem. Dlatego też już teraz wykonano obudowę budynków bloków 2 i 3, trwają prace przy budynku dla bloku 4, a także wznosi się konstrukcję nośną kotła nr 5. Natomiast na kotłach 2 i 3 trwa montaż technologiczny. Poważnie jest zaawansowany montaż turbozespołu nr 2, a dla turbozespołu nr 1 będzie niedługo zakończony fundament.

Oczywiście na uruchomienie bloku energetycznego mają wpływ inne czynniki, nie związane z generalnym wykonawcą. Mam na myśli kopalnię węgla brunatnego, która zgromadziła na razie ok. 35 tys. ton węgla dla celów rozruchu, oraz rozdzielnię 220 kV, która ma przyjąć energię elektryczną z bloku i przekazać ją do sieci państwowej. Tu mała ilustracja: 1 kocioł przy pełnym obciążeniu w ciągu jednej godziny zużywa 500 ton węgla, w miesiącu — 360 tys. ton, w roku — 4.300 tys. ton. Czy kopalnia węgla brunatnego w Bełchatowie podoła temu zadaniu? Przecież docelowo będzie tu pracowało 12 bloków energetycznych! Pytań ciśnie się więcej, a najważniejsze z nich jest podyktowane niepokojem: czy wystarczy pokładów węgla dla takiego kolosa, tym bardziej, że sprawa kopalni pod Szczercowem została odłożona ad calendas grecas.

Bełchatowska elektrownia jest prototypem nie tylko w Polsce, ale w Europie. Jest to jedno z dzieci zrodzone w zapale miłosnym panującym w okresie propagandy sukcesu. Wówczas nie budowano niczego co nie byłoby największe, najwspanialsze i najlepsze. Jak dotąd elektrownia w Bełchatowie spełnia jedynie ten pierwszy warunek: jest bez wątpienia największa w Europie. Każdy blok ma 360 MW, co pomnożone przez 12 daje 4.320 MW. Jest to pierwszy na starym kontynencie turbozespół o takiej mocy, który zastąpi dotychczasową rodzinę dwusetek. Jest to nasz produkt powstały na szwajcarskiej licencji BBC. Dlatego też wszyscy tu się uczą: budowlani, montażyści oraz ci, którzy będą później pracować przy eksploatacji. Toteż mylą się ci, co sądzą, że skoro rozpalono kocioł, to zaraz popłynie prąd. Tu mówi się o „oswajaniu" bloku, które może potrwać jeszcze parę miesięcy.

Jednakże w ten stosunkowo optymistyczny obraz wciska się uparta rzeczywistość mącąca klarowność poczynań kilkudziesięciu przedsiębiorstw pracujących na tym ogromnym placu budowy.

— Przygotowywaliśmy się do większych zadań — mówi dyrektor naczelny kombinatu inż. EDWARD WÓJCIK. — **Mieliśmy te zadania wykonać nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami. Kombinat miał w programie budowę elektrowni w Opolu, w Zatonie oraz drugi etap Bełchatowa tzw. elektrownię Szczerców, a także ruszenie z budowami na terenie NRD i Libii. Nagle wszystko zawisło w powietrzu: brak decyzji o budowie elektrowni w Zatonie i Szczercowie, przyhamowano budowę opolską. Jeśli idzie o eksport, to aktualnie nie ma decyzji co do następnych etapów prowadzonych tam już przez nas budów. Nikt nie wie czy będziemy je kontynuować, czy nie i czy ktoś w ogóle je dalej poprowadzi. Stan taki poważnie rzutuje na naszą politykę zatrudnienia i istniejące moce przerobowe. Musimy więc szukać dla siebie innych zleceń nie zawsze korzystnych dla profilu naszego przedsiębiorstwa.**

Rozwijają wypowiedź dyrektora naczelnego należy powiedzieć, że na całym terenie Bełchatowskiego Zagłębia Węglowego pracuje około 20 tys. ludzi, którzy dotychczas wykonywali prace przy wznoszeniu innych obiektów elektrowni na terenie kraju i poza jego granicami. Teraz ci ludzie znaleźli się w Bełchatowie. Co z nimi zrobić? Gdzie znaleźć dla nich pracę? Przecież większość tych ludzi na dobre związała się z elektrownią, z tym terenem, tu osiadła. Do Bełchatowa wielu dojeżdża z odległych miejscowości i ludzie ci nie myślą szukać zajęcia gdzie indziej. To właśnie oni wykonali owe 60 procent budów towarzyszących przy rozruchu pierwszego bloku. Zwolnić? Zatrudnić gdzie indziej? Przekwalifikować? Przekwalifikować człowieka pracującego łopatą - zgoda, ale murarzy z dziesięcioletnimi stażami, murarzy specjalistów od kominów, od chłodni? Problem jeszcze nie wystąpił w całej ostrości, ale lada dzień taka alternatywa znajdzie się na porządku dziennym dyrekcji.

Kiedyś Bełchatów miał zielone światło, dziś wiadomo już, że ruch w kraju przestał podlegać jakimkolwiek przepisom. Kryzys w równym stopniu dotknął rolnictwo co przemysł włókienniczy czy kopalnie. Tu, w kombinacie, życie zamiera w sposób powolny lecz widoczny. Kłopoty z olejami i paliwem sparaliżowały transport wykonujący prace ziemne, a także zdezorganizowały prace sprzętu ciężkiego i średniego (dźwigi, spychacze, koparki).

Nagle przestały nadchodzić w potrzebnych ilościach materiały budowlane: cegła, cement, kruszywo klasyfikowane, materiały wykończeniowe (farby, glazura). Rodzi się więc pytanie, co z budową w 1982 r.? Przecież rok przyszły wg. planów ma być rokiem prac wykończeniowych na budowie kopalni i elektrowni. Skoro mają ruszyć kolejne bloki energetyczne, muszą stanąć budynki, muszą zostać dokonane prace wykończeniowe. Tu mówi się, że prąd do sieci państwowej może nie popłynąć z powodu braku glazury lub cementu, a nie dlatego, że w zagłębiu na czas nie wydobyto węgla lub że tego węgla nagle zabraknie.

Dotąd o kopalni i elektrowni albo pisało się dobrze, albo wcale. Ale przecież i ta inwestycja, jak każda inna, podlega i jest obwarowana kosztami, cenami i codziennymi uciążliwościami. Wspomniałem, że elektrownia jest prototypem, jej koszt był obliczany wiele lat temu, a dziś okazuje się, że cenniki nie przewidują wcale tej elektrowni. Jest za droga. Już choćby same koszty takich robót jak żelbet, betony przemysłowe, montaż konstrukcji stalowych, stalowa obudowa budynków czy nawet roboty izolacyjne w praktyce okazują się o 20, a nawet o 50 proc. wyższe od dotychczas stosowanych.

Ceny. Ustalone na poziomie lat 1978/79 nie uwzględniają zmian jakie nastąpiły w cennikach na materiały budowlane, nie przewidują wzrostu kosztów transportu itp. Zaszła więc konieczność dokonania weryfikacji zbiorczego zestawienia kosztów budowy elektrowni w Bełchatowie, która pozwoli określić o ile wzrasta ogólny koszt, a tym samym określi się wielkość różnicy pomiędzy kosztami rzeczywistymi a wartościami podanymi w dotychczasowych kosztorysach. Oczywiście, taka operacja któryś raz z kolei udowodni, że w tym kraju pomiędzy planowaniem, a tym, co zostaje wykonane, jest więcej różnic niźli spraw zbieżnych.

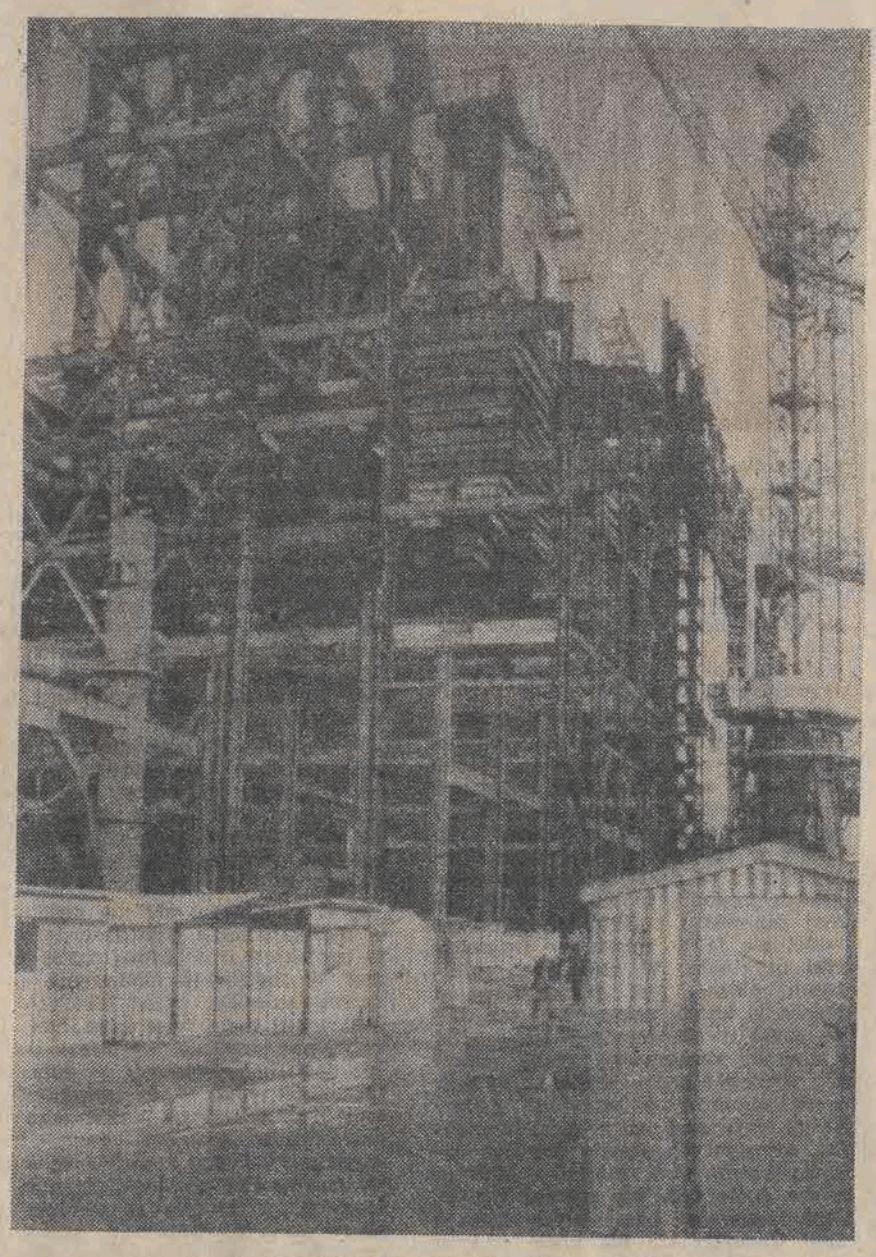

Montaż konstrukcji bloku.

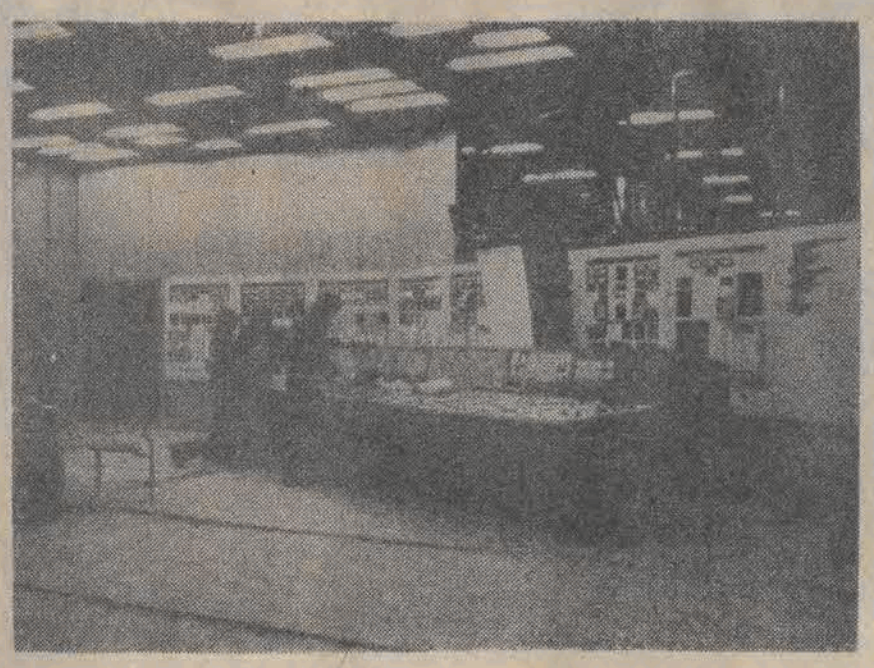

Wyprowadzenie mocy z bloku nr 1.

Uciążliwości. O nich mówiło się tu najczęściej. Przede wszystkim zaopatrzenie w żywność i kłopoty z wyżywieniem zbiorowym. Praca jest ciężka, w większości odbywa się pod gołym niebem, a w bufetach zakładowych są pustki. Ponad 10 tys. ludzi mieszka w hotelach. Dla nich zbudowano stołówki i bary. Dzisiaj obiekty te stoją prawie nieczynne, bo nie ma dla nich artykułów spożywczych, z których można byłoby przyrządzić bodaj przysłowiową zupę z wkładką regeneracyjną. Dodajmy do tego katastrofalny stan piekarnictwa w Bełchatowie, brak własnej rzeźni i mleczarni...

Ale ludzie nie odchodzą, pracują, zżyli się z tym terenem, z elektrownią, liczą, że tu pozostaną, choć Biłgoraj od Bełchatowa dzieli 17-kilometrowa przestrzeń porośnięta lasami.

W surowym budynku, w którym drzwi zastępuje ściana wody zlatująca gdzieś z wyższych pięter, a schody prowadzące do „Energorozruchu" wymagają iście cyrkowych umiejętności, zastaję kierownika rozruchu elektrowni inż. JERZEGO SZARFENBERGA.

— Człowieku — mówi, **mój czas jest cenniejszy od najszlachetniejszych kruszców. Chyba, że chcesz ze mną rozmawiać w czasie mojej pracy.**

Godzę się. Jurek jest moim starym kolegą, obaj pochodzimy z Łasku i dzisiejsze nasze spotkanie jest pierwszym po dwudziestu latach.

— Posłuchaj — mówi, podpisując jakieś ważne papiery. — **Rozruch, to skoordynowanie tego, co jest w projekcie z tym, co jest w rzeczywistości. W czasie kilku lat budowy, w zależności od przydziału dewiz, przychodziły tu różne zespoły. Dziś trzeba to wszystko zgrać. Na razie dokonaliśmy dwóch próbnych operacji: pierwsza — to chemiczne trawienie bloku, druga — przedmuchanie kotła i rurociągu. Następną operacją będzie uruchomienie turbiny. I teraz właśnie do tego się przygotowujemy. A więc muszą być zakończone prace montażowe, tzn. prace typu elektrycznego przy wyprowadzeniu mocy na zewnątrz. Musi być zakończony kompletny montaż turbiny i generatora pod względem mechanicznym, elektrycznym, pomiarowym i automatyki. Muszą być wykonane prace modernizacyjne na urządzeniach kotłowni, a do tego trzeba przecież wykonać wszystkie niezbędne prace związane z przygotowaniem bloku energetycznego na zimę. Bo dopóki blok będzie pracować, pary wystarczy, ale jeśli stanie, wówczas kotłownia awaryjna musi go ogrzać. Nie może przecież się zdarzyć, że blok stanie i zamarznie. I na to także trzeba być przygotowanym.**

22 października br. dokonano przedmuchu kotła, co wcale nie znaczy, że już teraz popłynie prąd z Bełchatowa. Potrzeba co najmniej miesiąca czasu na to, by przystąpić do uruchomienia turbiny. Ale i wtedy jeszcze nie otrzymamy prądu. Dopiero po wielu próbach turbiny, uruchomiony zostanie generator i dokona się z kolei jego prób. Jeśli okaże się, że pracuje bez usterek, dopiero wtedy można będzie podłączyć go do sieci państwowej. Przewiduje się, że nastąpi to około 15 grudnia br. Węgla na ten rok wystarczy. Jak będzie dalej, pokaże przyszłość.

Dlaczego tak długo trwa rozruch pierwszego bloku, skoro budowlani zrobili swoje, inwestor wstawił potrzebne agregaty, fachowcy z rozruchu są na miejscu? Ano dlatego, że jego uruchomienie jest uzależnione od zagranicznych dostaw niektórych elementów (brakuje trzech łożysk dla turbiny i dwóch dla generatora). Mają ponoć nadejść 3 listopada. A jeśli nie nadejdą? Nie ma także kompletu zaworów Sempla do regeneracji wysokoprężnej turbiny. Jeśli takowy komplet nie nadejdzie w porę, to blok zostanie uruchomiony, ale jego moc będzie dużo mniejsza. Jak mówi Jurek Szarfenberg, wiele elementów z importu przychodzących na plac elektrowni po prostu ginie.

— Ludzie liczą na energię z Bełchatowa — mówi — **ale nie można zapominać, że jest to elektrownia prototypowa. Blok będący w rozruchu ma całe dziewięć miesięcy na dojście do pełnej swojej mocy. Sądzę, że gdzieś w lutym damy 40 procent, nie więcej. Bo nie tylko blok musi się „dotrzeć", ale ludzie także. Nie można też zapominać, że cała nasza energetyka przeżywała i przeżywa kłopoty, a jeden blok w Bełchatowie nie sprawi cudu, nawet jeśli nie będzie żadnych niespodzianek przy jego rozruchu.**

EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: Archiwum

ODNALEZIONE OGNIWO

Dalszy ciąg ze str. 1

Nie można było jednak ustrzec się rozszerzenia zakresu robót, co *Marek Dziekoński* uważa zresztą za sprawę podczas remontów zwyczajną. Musiano np. wymienić brudne i potłuczone szyby w dachu. Nowe, zbrojone — i trudno osiągalne w kraju — szkło wykonała w wolną sobotę huta w Ząbkowicach. Tego samego domagała się duża część stalowych, źle ocynkowanych i zjedzonych przez korozję opierzeń, zdecydowano się więc wymienić je wszystkie na nowe, z lepszej, miedzianej blachy.

Kierownik budowy inż. *Stanisław Prętkowski* z PBU powiada, że nie miał przy wykańczaniu rotundy takiego „kociokwiku", jaki często bywa na budowach, zwłaszcza „mieszkaniówki". Ale choć — jak stwierdza inż. *Dziekoński* — „wielkich pomyłek nie było", to i ta budowa miała swój trudny moment — wtedy, gdy odkryto błąd projektanta: źle o dwa metry wyliczoną odległość między punktem widokowym pośrodku rotundy a płótnem. Ten punkt był już gotowy, więc powrót na budowę trzeba było zaczynać od ...burzenia. Trochę się na to we Wrocławiu krzywili.

W dalszym ciągu nie mają budowlani odpowiedniego, mlecznego szkła pod świetliki kopuły, zanosi się także na spór o kształt balustrady wokół platformy widokowej. Mimo to rotundę uznano za gotową i 6 sierpnia przejęło ją muzeum, aby natychmiast oddać — na czas konserwacji — PKZ. Kustosz *Piątek*, który z ramienia przyszłego użytkownika zajmuje się organizacją ekspozycji, wyjaśnia:

— Z fazy realizacji obiekt przeszedł płynnie w stan eksploatacji. Chodziło o to, ażeby nikt nam nie przerwał budowy.

Winą za spóźnienie moi rozmówcy obarczają jednak nie budowlanych, lecz wrocławskie Pracownie Konserwacji Zabytków. Ponoć oddział ten, któremu warszawska dyrekcja zleciła prwadzenie konserwacji Panoramy, nie tyle wykręcał się od tej roboty, co nie chciał podjąć się roli generalnego wykonawcy, która u nas, jak zauważa inż. *Dziekoński* — nie daje pieniędzy, a same kłopoty. Stało się to dopiero po zmianie dyrektora. Wrocławskie PKZ są więc generalnym wykonawcą, acz niedostatecznie przygotowanym, zwłaszcza w zakresie prac pomocniczych. W efekcie przedłuża się budowa drewnianego pomostu o tysiącmetrowej powierzchni, odwlekając moment złożenia na nim malowidła. W dodatku trwają prace projektowe nad wyposażeniem pracowni konserwatorskiej w rotundzie; spadły one trochę niespodziewanie na inż. *Dziekońskiego* i jego kolegów, a są to poważne bardzo zadania (oprócz pomostu dwie suwnice, skomplikowane zabezpieczenie przeciwpożarowe, instalacje oświetleniowa i wyciągowa — przeciwwybuchowa; w rotundzie przez trzy kwartały będzie się nonstop używać rozpuszczalników...).

Wydaje się jednak, że ta sytuacja jest trochę na rękę konserwatorom, którzy do końca września nie dysponowali jeszcze w pełni opracowaną metodą renowacji płótna. Są oni bardzo, zdaniem niektórych wręcz przesadnie ostrożni, przygotowują równolegle kilka alternatywnych propozycji, szukają, badają... W Pracowni Konserwacji Panoramy wrocławskiego Oddziału PKZ jej kierownik mgr *Stanisław Filipiak* pokazuje mi półki ze skrzętnie zbieraną literaturą fachową.

— *Chcemy wykorzystać to wszystko, co ludzie już robili na ten temat w świecie* — zapewnia. — *Uważamy, że nie powinno się szczędzić czasu i pracy na stronę technologiczną, nawet kosztem opóźnienia. Jeżeli początek zrobimy dobry, będziemy mogli mieć pewność równie dobrego końca.*

Mimo wszystko możliwości porównań i wymiany doświadczeń nie jest zbyt wiele: z licznie rozmnożonego — od końca XVIII wieku — gatunku zachowało się do dziś zaledwie 16 panoram, nie licząc Racławickiej, o której istnieniu nie wiedział nawet autor wydanej niedawno na Zachodzie naukowej monografii. W wykazie znanych polskich panoram udało się zapisać 13 (w tym kilka niezrealizowanych projektów). Parę dochowało się we fragmentach, w całości — tylko Styki i Kossaka. Sięgnięto więc raczej do bardziej aktualnych doświadczeń Węgrów — z ich panoramą, w Szegedzie. Zaproszono też znanego konserwatora panoram — Bergera z Atlanty w USA. Po spotkaniu z nim, ma się ostatecznie zadecydować o wyborze metody, nad którą pracowały równocześnie zespoły: krakowski pod kier. prof. *Zofii Medweckiej* z ASP oraz wrocławski, przy czym złośliwi (?) twierdzą, że ten drugi zaledwie realizuje zlecenia pierwszego, w dodatku zaś recepty te jeszcze opiniuje i zatwierdza komisja przy ministerstwie... (— A jaki jest rezultat? Nie ma odpowiedzialnego — stwierdził jeden z mych rozmówców spoza PKZ).

Tak czy owak jest to decyzja, na którą się czeka. Od niej zależy sposób, w jaki przeprowadzi się nader ważną czynność dublowania, tj. wzmacniania odwrotnej strony malowidła. W trosce o najlepszą metodę, rozwinięto badania nad nowymi rodzajami spoiw. Dotyczy to również warstwy malarskiej, która od momentu przerwania prac konserwatorskich w auli Technikum Gastronomicznego w 1973 r., zabezpieczona jest spoiwem woskowym i zaklejona cieniutką japońską bibułką. Próby szły więc w kierunku zastąpienia wosku lżejszym o ok. 3 razy tworzywem sztucznym.

Przeprowadzone w marcu pomiary fotogrametryczne płótna nie wykazały żadnych nowych zniszczeń. Płótno ma jednak wiele ubytków, częściowo jeszcze z czasów wojny (uszkodzono je poważnie w czasie nalotu na Lwów w 1944 r.). W Instytucie Włókiennictwa w Łodzi opracowano dokładną imitację płótna, o takiej samej osnowie i wątku. Pieczołowicie wklei się je w zniszczone fragmenciki oryginału. W niektórych miejscach płótno jest porozrywane i trzeba je będzie pozszywać... tak, tak — nitką i chirurgiczną igłą. Nie mniejszej staranności, wręcz precyzji, wymagać będzie wypełnianie licznych ubytków w warstwie malarskiej. Najwięcej ich w partiach nieba, zajmujących zresztą przeszło połowę powierzchni płótna. Malując niebo pejzażysta nie używał pędzla, lecz tamponów nasączonych farbą i tym tłumaczy się tak wiele wykruszeń zaprawy. Magister *Filipiak* pokazał mi próbkę z kawałeczkiem nieba z panoramy. Spękany, niemal brunatny, nie przypomina kwietniowego błękitu nad Racławicami i Górą Kościejowską, gdzie Bartos przykrył krakuską zapłon rosyjskiej armaty.

Kierownik pracowni wrocławskiego PKZ powiedział mi, że może lepiej się stało, że sprawa przywrócenia Panoramy opóźniła się o lata... Dzięki temu konserwatorzy będą mogli skorzystać z najnowszych możliwości współczesnej chemii (w kwestii doboru spoiw). Niemniej postęp wiedzy wcale nie oznacza, że wszystko da się przewidzieć. — *W wielu nowych czynności trzeba się będzie uczyć w trakcie konserwacji* — mówi *S. Filipiak*. Przyznam, że uspokoiłem się dowiedziawszy się, że to właśnie on przez 3,5 roku prowadził prace nad konserwacją XVIII-wiecznej polichromii morawskiego malarza Hankego w Auli Leopoldina. Przywrócił blask wielu dziełom starego malarstwa i np. XV-wiecznej polichromowanego rzeźby. Mimo długiej praktyki przyznaje, że Panorama wciągnęła go i stała się nową pasją.

— *Niecierpliwie czekam na moment rozwinięcia płótna i początek pracy* — mówi. *To będzie dla nas wszystkich wielka niespodzianka.*

Chwila ta odsuwa się: w rotundzie w pierwszych dniach października trwał montaż ogromnego podestu, na który potrzeba było kilka wagonów desek. Przedstawiciele PKZ odpierają zarzut opieszałości:

— *Nie mogliśmy zrezygnować z żadnych zabezpieczeń, które chronić będą ludzi, płótno i rotundę...*

*

Zaprojektuje się i zbuduje dla nich osobny, doraźny system przeciwpożarowy, oświetlenie i klimatyzację. Niezależnie — w dużej mierze — od tych wszystkich urządzeń, bez których trudno sobie wyobrazić otwarcie Panoramy.

W projekcie państwa *Dziekońskich* przeznaczono na nie oddzielny, płaski pawilon z boku żelbetonowego rondla, połączony z nim podziemnym przejściem. Przez ten pawilon napływać będzie zarazem do rotundy publiczność.

W budynku nie ma jeszcze wszystkich urządzeń technicznych. Ba, nie ma kompletu projektów, choć miały być gotowe do końca września — tak przynajmniej twierdzi kierownik budowy. Powodem opóźnienia jest zmiana w systemie klimatyzacji.

— *Z pawilonem nie ma pośpiechu* — uspokaja mnie przedstawiciel biura projektów, nie bardzo chyba wierząc w możliwość ukończenia prac konserwatorskich przed 1984 rokiem. Budowlani mają więc czas... Na dokończenie pawilonu wystarczy im — jak zostaję zapewniony — cały rok 1982. Rok 1983 — to wnętrza, roboty wykończeniowe. Część prac będzie można wykonać dopiero po wyjściu PKZ (czy zdążą?). No i jest jeszcze sprawa zagospodarowania otoczenia, w którym przewiduje się spore zmiany, łącznie z przesunięciem parku im. Słowackiego (będzie okalał kompleks obiektów Panoramy), budową parkingów itp.

Historia budowy Panoramy jest długa i meandryczna, w ciągu lat zmieniło się tyle szczegółów, że — aby nie zapeszyć — może lepiej na razie powstrzymać się od kreślenia dokładnych wizji, choć istnieją one już od dawna w wyobraźni projektantów. Inż. arch. *Marek Dziekoński* mówi:

— *Od tamtego, zwycięskiego konkursu spotkałem się już z dwoma społecznymi komitetami budowy. Jeszcze 15 lat temu wszystko było prostsze. Panoramę traktowano bardziej jak urządzenie techniczne, niż zabytek sztuki. Nie zakładano, że będzie to obiekt muzealny... Teraz jest inaczej, zmieniło się nastawienie. Panorama jest już oddziałem Muzeum Narodowego. Niektórzy muzealnicy i konserwatorzy traktują ją jak XIII-wieczny obraz, z przesadną niekiedy, moim zdaniem, ostrożnością... Od strony projektowej zakres zmian jest bardziej skomplikowany, choć sam staram się podchodzić do mego projektu jak do... zabytku: nie zmieniać tego, co zrobiliśmy przed kilkunastu laty, nie negować, a raczej — dodawać...*

Ostatni rodzaj kontrowersji wywołują problemy związane z ekspozycją dzieła. Projektanci stanęli przed koniecznością sprostania zupełnie nowym oczekiwaniom i życzeniom gospodarzy obiektu. Przewidywane statystyki frekwencji skoczyły w górę — dwu- a nawet trzykrotnie (ok. 400 osób na godzinę). Wzrosły więc też ambicje muzealników... Naprzeciw takim tłumom chcą wyjść zbrojni w nowoczesną technikę.

Inż. *Dziekoński* jest pod tym względem sceptykiem. Nie ukrywa, że za najważniejszy uważa „ludzki, bezpośredni kontakt z dziełem" (powołuje się na przykład panoramy w Borodino, gdzie przewodnikami są ludzie). Poza tym nie wierzy w trwałość wszystkich tych elektronicznych urządzeń, jakie co chwila proponują z muzeum... Ale jako pracownik biura projektów musi spełniać ich żądania, reprezentują przecież inwestora i przyszłego gospodarza obiektu. Mają prawo.

Zdaniem kustosza *Józefa Piątka* z Muzeum Narodowego na to, by mówić o urządzeniu ekspozycji, wcale nie jest za wcześnie. Pan *Piątek* jest autorem projektu programu użytkowania obiektu, w którym zaproponował pogłębienie stworzonej przez XIX-wiecznych artystów iluzji zestawem „współczesnych środków ekspresji, jak sztuczne światło, dźwięk, elektroniczne zaprogramowanie w ramach prezentacji" — dla „dalszego, jak sam napisał, udoskonalenia pierwotnego zamysłu twórców".

— *Gdybyśmy odtwarzali tylko lwowską panoramę* — dodaje — *te urządzenia byłyby zbędne. Sądzę jednak, że Panorama powinna być eksponowana w warunkach technicznych właściwych naszym czasom.*

W koncepcjach dotyczących sposobu prezentacji panoramy *J. Piątek* poszedł najdalej, aż do sposobów praktykowanych przy aranżacjach widowisk typu „światło i dźwięk". Oglądanie panoramy miałoby więc się odbywać w ramach specjalnych seansów audiowizualnych, przy współudziale świateł i narracji odtwarzanej z taśmy magnetofonowej, która zastąpiłaby tradycyjnego przewodnika. Komentarz słowny miał zostać wkomponowany w specjalne akustyczne tło (odgłosy bitwy, muzyka, śpiew). Jednym słowem — niemal „jak w kinie"...

Pomysł ten, choć miał swych zwolenników, ostatecznie upadł. Zostały inne, których kustosz Piątek wytrwale broni, odpędzając zarzuty o pęd do hipernowoczesności...

— *Objaśnianie ekspozycji przez głośnik? Przecież nie jest to żaden wyczyn techniki. Jeżeli chcę, aby dyspozytor obserwował na monitorze sytuację wewnątrz rotundy — na widokowej platformie, regulował ruch, uruchamiał aparaturę... to chodzi mi o usprawnienie obsługi, zwiększenie bezpieczeństwa obiektu i zwiedzających. Jeżeli myślę o tym, by przy wejściu — zamiast kasjerek i bileterek — były automaty, to takie jak choćby w praskim metrze... Żadnych cudów nie chcę...*

Ale poza tym: zapraszanie widzów przy pomocy informacji świetlnej („lotniskowy trochę układ" — jak mówi inż. *Dziekoński*), programy wyświetlane na 2 monitorach telewizyjnych i 3 ekranach projektorowych, a w razie potrzeby i na 1 — kinowym. A dalej jeszcze model terenu bitwy z 140 figurkami żołnierzy tzw. Mała Panorama), ekspozycja broni i barwy 11 walczących pod Racławicami formacji, a także wystawa o kościuszkowskich tradycjach w polskim wojsku i na koniec — bufet, choć myśl o kawiarni, ba, nawet zwykłych automatach do napojów trzeba będzie odrzucić... Czekając na swoją kolejkę do Panoramy, widzowie będą zatem mieli co robić. I chyba dobrze, choć — jak sądzę — niektóre pomysły z dziedziny „audio-video" skoryguje czas...

Muszę przyznać, że ze wszystkich opinii, jakie usłyszałem na temat sposobu zagospodarowania, a zwłaszcza eksponowania Panoramy, najbliższy jest mi pogląd dr Bożeny Steinborn — wicedyrektor Muzeum Narodowego.

— *Autorom Panoramy chodziło nie o kunszt malarski, lecz o wywołanie w widzu złudzenia, że znajduje się w innej przestrzeni, w innej rzeczywistości. Panoramy powstawały w czasach, gdy nie było jeszcze kina, traktowano je jak wynalazek techniczny, dwie pierwsze — angielskie — były nawet opatentowane. Na grunt francuski przeszczepił panoramę Robert Fulton — wynalazca parostatku... Panorama Racławicka jest też dziś zabytkiem XIX-wiecznego poziomu wiedzy technicznej. Jeżeli potraktujemy ją jako zabytek kultury wizualnej zeszłego wieku, to należałoby rekonstruować ją tak jak zabytki, a więc — bez fałszerstw. Czy potrzebne są jej odgłosy wystrzałów i zapach prochu? Uszanujmy twórców, którzy długo myśleli, jak dostępnymi im wówczas środkami wywołać to złudzenie... Mamy im dziś dodawać naszą, o niebo lepszą technikę? Ładować w panoramę nowe elementy? Trzeba raczej zrobić wszystko, aby zrekonstruować środki służące złudzeniu, a nie dodawać nowe, bo wtedy lepiej nakręcić po prostu panoramiczny film o bitwie...*

Ten pogląd znajduje zrozumienie wśród konserwatorów. Z trudem natomiast toruje sobie drogę do świadomości „ludzi techniki", którzy najchętniej chcieliby oprawić Panoramę w... „złote ramki", przydać jej co nieco ze zdobyczy XX wieku. Ludzie ci nie zdają sobie sprawy z tego, że rozmaite wtręty mogą zdeformować pierwotny odbiór — i sam zabytek. Widać w tym sposobie myślenia wpływ naszej propagandy, która zrobiła z Panoramy (nie z niej jednej...) „tabu i męczennicę"... Nic też dziwnego, że większość Polaków myśli o niej dziś niemal jak o sacrum, „świętej narodowej pamiątce", a wielu chciałoby ją jeszcze bardziej upiększyć.

*

Trwają spory fachowców, mit sobie po cichu rośnie (kontrolowany na szczęście coraz częściej z nauką, choćby dzięki organizowanym przez muzea narodowe w Krakowie i Wrocławiu wystawom, ostatnio — „Małej Panoramy Racławickiej"), a tymczasem nad Odrą notują, że — materialnie wyrażone — zainteresowanie losami Panoramy jakby nieco osłabło...

— *Jest mniej publikacji, mniej pieniędzy... Sprawy Panoramy nie można za bardzo przeciągać* — mówi kustosz *Piątek*.

W tej chwili na koncie znajduje się ok. 18 mln złotych (i 200 dolarów nie licząc 60 tys. Wałęsowych). Są to datki indywidualne i zbiorowe, dochody z imprez organizowanych na rzecz Panoramy, datki ze skarbonek ustawianych na wystawach, podczas imprez, ze skarbony we wrocławskim Rynku, jak również ze sprzedaży pierwszych wydawnictw. Do tej pory ukazały się katalogi wystaw „W kręgu Panoramy Racławickiej" i „Mała Panorama Racławicka" (w kolorze) oraz składana reprodukcja lwowskiego albumu E. Trzemeskiego, wykonania społecznie przez Prasowe Zakłady Graficzne. W przygotowaniu znajdują się: teka barwnych reprodukcji PR („Interpress"), monografia PR (Ossolineum przy współpracy Społecznego Komitetu Panoramy Racławickiej), barwne pocztówki (KAW). Zakończono już także druk „cegiełek" o różnych nominałach. Przypomnijmy, że koszty budowy i zagospodarowania kompleksu obiektów Panoramy szacuje się na ok. 60 mln zł (bez wartości czynów społecznych). Przypomnijmy:

LOSY PANORAMY SĄ NADAL W RĘKACH SPOŁECZEŃSTWA!

*

Społeczny Komitet Panoramy Racławickiej zamierza udostępnić dzieło za niecałe 3 lata... — 4 kwietnia 1984 roku, w 190 rocznicę bitwy pod Racławicami. — „W najlepszym razie" — dorzucają niemal wszyscy moi rozmówcy, a mgr S. Filipiak określa ten narzucony termin wręcz jako „zabójczy". Bo czy można popędzać konserwatorów, bez ryzyka, że odbije się to fatalnie na przyszłym wyglądzie dzieła? Ich pracy nie da się sztucznie przyspieszyć i nawet stu skierowanych do tej roboty konserwatorów nic tu nie pomoże...

Taki termin postawił sobie jednak SKPR za cel. Oficjalnie. Myślę jednak, że podobne zadanie postawili sobie w głębi ducha ci wszyscy, którzy zaangażowali się autentycznie. A takich nie brak.

Inż. *Marek Dziekoński:*

— *Przyznaję: ten projekt mnie zmęczył. Wiele obiektów zrealizowałem w swoim życiu, ale nie na takim „społecznym świeczniku". Myślałem już, że Panorama znajdzie się wśród innych, nigdy nie zrealizowanych projektów. Każdy architekt ma ich trochę... To, że mogę dokończyć obiekty dla Panoramy, traktuję jak wyróżnienie losu. Będą wymagać jeszcze wielu starań, drobnych, niewidocznych. Szczególnie wnętrza... Zakładam sobie jednak, że dopilnuję Panoramy do końca...*

Kustosz *Józef Piątek* dodaje:

— *Liczę każdy dzień. Od dziś jest 913 do otwarcia. Jestem optymistą.*

PS. Przypominam numery kont Funduszu Panoramy Racławickiej: Narodowy Bank Polski I Oddział we Wrocławiu nr 93015-2570-132 (dla złotówek). Narodowy Bank Polski I Oddział we Wrocławiu nr 93015-192819-151-6787 (dla walut obcych).

TOMASZ SOLDENHOFF

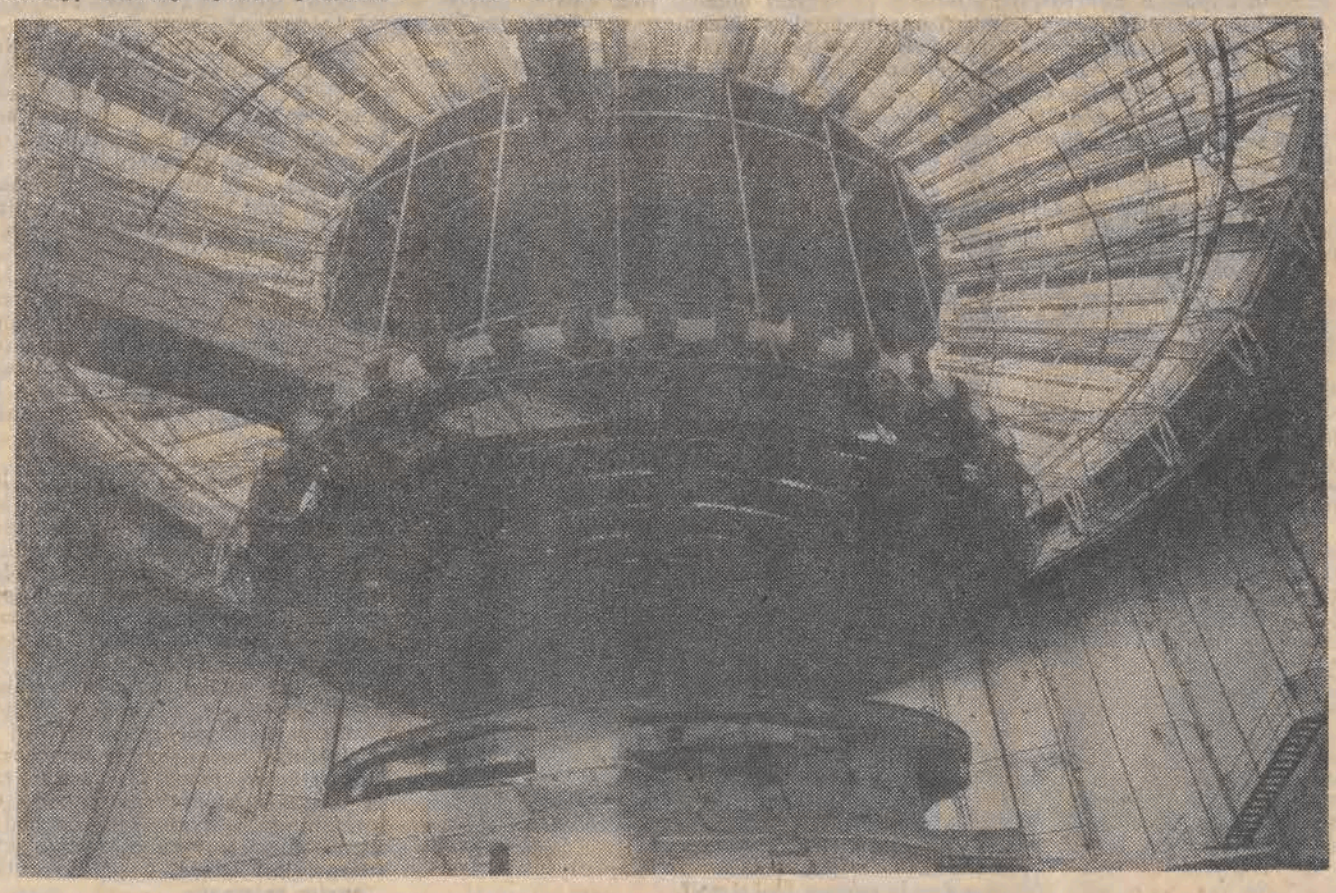

Foto: St Rzeszowski

Dalszy ciąg ze str. 1

cisk armatni i dotychczas nie jest odbudowana. Tramwaje, które widzieliśmy, nie przewożą pasażerów, lecz służą do transportu żywności i opału. Uważa się na ogół, że od tej strony Piotrogród jest lepiej przygotowany do zimy niż Moskwa.

Dziesięć tysięcy krzyży na moskiewskich cerkwiach wciąż jeszcze połyskuje w słońcu. Na wieżycach Kremla jak dawniej rozpinają do lotu swe skrzydła carskie orły. Jedno z dwojga: albo bolszewicy są zbyt zajęci innymi sprawami, albo po prostu nie zwracają na nie uwagi — w każdym razie orły nie zostały dotąd strącone.

Cerkwie są otwarte; tłumy modlących się z tą samą żarliwością, co dawniej, całują ikony. Żebracy przy wejściu do świątyń jak dawniej odwołują się do miłosierdzia wiernych. Tłumy odwiedzają słynną kaplicę z cudowną ikoną Matki Boskiej Iwerskiej, znajdującą się tuż obok Spaskich Wrót. Wiele kobiet wiejskich, nie mogąc dostać się do wnętrza kaplicy, całuje jej kamienne mury. (...)

Formalności związane z przygotowaniami do mego spotkania z *Leninem* przedłużały się i stawały denerwujące — ale oto wreszcie znalazłem się w drodze na Kreml w towarzystwie pana *Rotsztejna*, dość znanego w dawnych czasach działacza komunistycznej partii w Londynie oraz amerykańskiego „*Towarzysza*", uzbrojonego w imponujących rozmiarów aparat fotograficzny. Jak mi dano do zrozumienia, był on również współpracownikiem Komisariatu Spraw Zagranicznych.

Pamiętam Kreml z 1914 roku, kiedy można było zwiedzać go bez żadnych przeszkód, podobnie jak pałac w Windsor; wszędzie spotykało się wtedy niewielkie gromady pielgrzymów i turystów. Dziś dostęp do Kremla zamknięto i dostać się tam jest bardzo trudno. Niezliczone formalności rozpoczęły się z chwilą zbliżenia się do bramy kremlowskiej. Zanim trafiliśmy do *Lenina*, musieliśmy przejść przez pięć czy też sześć pokoi, gdzie nasze przepustki były sprawdzane raz po raz.

Bardzo możliwe, że wszystko to niezbędne jest dla zapewnienia *Leninowi* osobistego bezpieczeństwa, ale też utrudnia utrzymywanie bezpośredniej łączności pomiędzy Rosją a nim i — co wydaje mi się jeszcze ważniejsze, o ile chodzi o skuteczność oddziaływania rządu — łączności pomiędzy nim a Rosją. Jeżeli bowiem to, co dociera do *Lenina*, przepuszczane jest przez pewien filtr, to również wszystko, co wychodzi od niego, musi być przefiltrowane, przy czym w toku takich operacji mogą następować poważne zniekształcenia.

Nareszcie znaleźliśmy się w gabinecie *Lenina*. Był to widny pokój z oknami wychodzącymi na plac kremlowski. *Lenin* siedział przy ogromnym biurku, zawalonym papierami i książkami. Zająłem miejsce z prawej strony biurka, a niewysoki człowiek siedzący w fotelu tak, że nogi jego zaledwie dotykały podłogi, odwrócił się do mnie, opierając się łokciami o plik papierów. *Lenin* doskonale wysławiał się po angielsku, ale — co mi się wydało rzeczą dość charakterystyczną dla obecnej sytuacji w Rosji — towarzyszący mi pan *Rotsztejn* cały czas czuwał nad naszą rozmową i wtrącał swoje spostrzeżenia i uwagi. W tym czasie Amerykanin manipulował przy swoim aparacie z niezwykłą wytrwałością i zaczął robić jedno zdjęcie po drugim, starając się nam nie przeszkadzać. Zresztą rozmowa była zbyt ciekawa, by fotograf mógł przeszkodzić, i wkrótce przestałem zwracać uwagę na ciągłe pstrykanie aparatu.

Udając się do *Lenina* spodziewałem się spotkać dogmatyka marksizmu i doktrynera, z którym będę zmuszony się zmierzyć, lecz stało się inaczej.

Mówiono mi, że *Lenin* lubi pouczać ludzi, lecz muszę przyznać, że w czasie naszej rozmowy całkowicie się od tego powstrzymał. Kiedy się opisuje *Lenina*, zazwyczaj sporo miejsca poświęca się jego śmiechowi; zrazu jest on nie pozbawiony uroku, później natomiast jest jakoby nieco cyniczny. Nie mogę nic o tym powiedzieć, gdyż w ciągu całej rozmowy nie słyszałem takiego śmiechu.

Lenin ma przyjemną, smagłą twarz, o szybko zmieniającym się wyrazie i ożywiającym ją uśmiechu; słuchając współrozmówcy ma zwyczaj przymrużać jedno oko, co zapewne wynika z jakiejś wady wzroku. Nie jest zbyt podobny do swoich fotografii, należy bowiem do ludzi, u których zmiana wyrazu twarzy posiada znacznie większe znaczenie aniżeli jej rysy; rozmawiając ze mną *Lenin* z lekka gestykulował, jego ręce poruszały się nad papierami, których było pełno na biurku, mówił szybko, przejęty tematem, bez cienia jakiejkolwiek pozy, szczerze i po prostu, tak jak zwykli rozmawiać prawdziwi uczeni.

Dwa tematy przewijały się raz po raz w ciągu całej naszej rozmowy i stanowiły niejako jej zasadniczy trzon. Jeden podejmowałem ja: „*Jak wyobraża pan sobie Rosję w przyszłości? Jaki rodzaj państwa stara się pan budować?*".

A oto drugi temat, podejmowany przez *Lenina: Dlaczego w Anglii nie wybucha rewolucja? Dlaczego nic nie robicie, aby ją przygotować? Dlaczego nie obalacie ustroju kapitalistycznego i nie zabieracie się do budowy komunistycznego państwa?*" Oba tematy splatały się ze sobą i uzupełniały wzajemnie. Drugi temat kazał powracać do pierwszego: „*Co wam przyniosła wasza rewolucja społeczna? Czy oceniacie jej wyniki jako dodatnie?*" Z kolei *Lenin* z uporem powracał do poprzedniego tematu. „*Po to, by nasza rewolucja przyniosła dodatnie wyniki, cały Zachód również musi dokonać rewolucji! Dlaczego nie wywołujecie jej?!!*

Przed 1918 rokiem marksiści uważali rewolucję społeczną za cel ostateczny. Proletariusze wszystkich krajów powinni byli się połączyć, obalić kapitalizm i osiągnąć wieczną szczęśliwość. Ale oto w 1918 roku ku swemu wielkiemu zdziwieniu komuniści objęli władzę w Rosji i stanęli w obliczu konieczności udowodnienia, iż potrafią nadać realny kształt swemu marzeniu. Komuniści słusznie powołują się na warunki okresu wojennego, na blokadę — jako na przyczyny, które opóźniają wprowadzenie nowego i lepszego ustroju w rządzonym przez nich kraju, niemniej jednak zaczynają najwyraźniej zdawać sobie sprawę z tego, że marksistowski sposób rozumowania nie daje przygotowania do praktycznej działalności. W bardzo wielu sprawach — wymieniłem jedynie dwie lub trzy — ci ludzie po prostu nie wiedzą, jak się do nich zabrać. Ale przeciętny komunista wpada w nieopisany gniew, kiedy ktoś ośmieli się wyrazić wątpliwość, czy w obecnym reżimie wszystko jest robione tak, jak należy, i możliwie najbardziej rozsądnie. Zachowuje się wtedy jak skora do obrażania gospodyni, która usiłuje wymusić na każdym pochwały dla wzorowego porządku w jej domu, chociaż z powodu przeprowadzki panuje tam nieopisany nieład. Taki komunista przypomina również owe — dziś już zapomniane — sufrażystki, które obiecywały raj na ziemi z chwilą, kiedy uda się im uwolnić od tyranii praw „ustanowionych przez rodzaj męski". Natomiast *Lenin* — ze swoją szczerością, która niekiedy wręcz oszałamia jego zwolenników, rozwiał niedawno ostatnie iluzje, że rewolucja rosyjska oznacza coś innego niż rozpoczęcie okresu nieustających poszukiwań. Pisał niedawno, że *ci, którzy wzięli na siebie gigantyczny trud zniszczenia ustroju kapitalistycznego, muszą zdawać sobie z tego sprawę, że będą musieli próbować jednej metody po drugiej, aż do chwili, kiedy znajdą tę, która będzie najbardziej odpowiadała ich celom i zadaniom.*

Naszą rozmowę rozpoczęliśmy od rozpatrzenia sprawy przyszłości, jaka przy ustroju komunistycznym oczekuje wielkie miasta. Chciałem się dowiedzieć, jak daleko, zdaniem *Lenina*, posunie się proces obumierania miast w Rosji. Zniszczony Piotrogród nasunął mi myśl, która dawniej nie przychodziła mi do głowy, że zewnętrzny wygląd i rozplanowanie współczesnego miasta zależne są od handlu i rynków, że przy skasowaniu handlu, pośrednio czy bezpośrednio, dziewięć dziesiątych miejskich budynków traci wszelki sens istnienia i swą użyteczność.

KREMLOWSKI MARZYCIEL

H. G. WELLS

— *Miasta będą znacznie mniejsze* — przyznał *Lenin*. — *Będą zapewne miały zupełnie odmienny charakter niż dzisiejsze.*

Zauważyłem, że będzie to oznaczało zamieranie obecnych miast i konieczność zastąpienia ich innymi. Katedry i wspaniałe gmachy Piotrogrodu zamienią się w pamiątki historyczne, jak cerkwie i stare budynki w Wielkim Nowogrodzie lub świątynie w Paestum. Ogromna część współczesnego miasta będzie musiała zniknąć. *Lenin* zgodził się z tym, nie wyrażając zresztą zbytniego ubolewania. Odniosłem wrażenie, że był zadowolony, mogąc rozmawiać z kimś, kto rozumie nieuniknione następstwa kolektywizacji, których w pełni nie potrafili uświadomić sobie nawet jego zwolennicy. *Rosja* — powiedział do mnie — *powinna się gruntownie przebudować, należy zrobić z niej coś zupełnie nowego...*

— *A przemysł?* — zapytałem. — *Trzeba go będzie również gruntownie przebudować.*

Wtedy *Lenin* zapytał mnie, czy mam wyobrażenie o tym, co się robi w Rosji i czy słyszałem, co się mówi o elektryfikacji Rosji.

I oto *Lenin*, który jak każdy prawdziwy marksista, chętnie kpi z wszelkich „utopistów", w końcu sam stał się ofiarą utopii, a mianowicie utopii elektryfikacji. Czyni wszystko, co jest w jego mocy, by zbudować w Rosji wielkie elektrownie, które będą zasilały całe gubernie w energię potrzebną do oświetlania, transportu i celów przemysłowych. *Lenin* oświadczył mi, że w celach doświadczalnych zelektryfikowano już dwa rejony. Czy można sobie wyobrazić bardziej zuchwały plan, który ma być realizowany w tym olbrzymim, równinnym, pokrytym lasami kraju, zaludnionym chłopami nie umiejącymi ani czytać, ani pisać, pozbawionym źródeł energii wodnej, nie rozporządzającym ludźmi o wykształceniu technicznym, w którym handel i przemysł niemal zamarły? Owszem, podobne plany elektryfikacji są w trakcie realizacji w Holandii. W Anglii zostały dopiero poddane pod dyskusję i można bez trudu wyobrazić sobie, że w tych gęsto zaludnionych krajach, o wysoko rozwiniętym przemyśle, elektryfikacja może dać znakomite wyniki, może okazać się przedsięwzięciem rentownym i niezmiernie pożytecznym. Ale myśleć o urzeczywistnieniu takich projektów w Rosji? Doprawdy, wymaga to nie byle jakiego wysiłku rozigranej wyobraźni. Jeżeli chodzi o mnie, żadną miarą nie potrafię wyobrazić sobie tej Rosji przyszłości. Ale ten niezwykły, niewielkiego wzrostu człowiek na Kremlu posiada wielki dar wyobraźni. On już widzi, jak zamiast dzisiejszych zużytych pociągów zaczną kursować nowe, elektryczne, widzi, jak wstęgi nowo zbudowanych szos przetną cały kraj, jak na gruzach przeszłości rozkwita szczęśliwe uprzemysłowione państwo komunistyczne.

W ciągu naszej rozmowy *Leninowi* prawie że udało się wpoić we mnie przekonanie o realności jego wizji.

I zabierze się pan — zapytałem — *do realizowania swoich planów z rosyjskim chłopem, który mocno trzyma się darowanej ziemi?*

Przebudowa obejmie nie tylko miasta, wieś również zmieni się do niepoznania.

— *Już i w obecnej chwili* — powiedział *Lenin* — *nie całą produkcję rolniczą w Rosji zawdzięcza się chłopom. Mamy tu i ówdzie poważne ośrodki produkcji rolniczej. Tam gdzie są sprzyjające warunki, rząd radziecki przejął zarząd większych majątków rolnych, w których robotnicy zastąpili chłopów. Tego rodzaju eksperymenty mogą być stosowane na szerszą skalę, zastosujemy je z początku na terenie jednej guberni, później — drugiej. Chłopi mieszkający w innych guberniach, nieucy i egoiści, najprawdopodobniej nie będą nawet wiedzieli o zmianach zachodzących gdzie indziej, aż do chwili, kiedy przyjdzie kolej na nich...*

„*Przebudowa*" *rosyjskiego chłopstwa en bloc nie przyjdzie zapewne tak łatwo, jednak poradzenie sobie z poszczególnymi grupami nie nastręczy szczególnych trudności.* ...Mówiąc o chłopach, *Lenin* pochylił się w moją stronę, ton jego słów stał się bardziej poufny, jak gdyby chłopi stali za drzwiami i mogli go usłyszeć.

Sprzeczałem się z nim, starałem się mu udowodnić, że bolszewicy będą musieli przebudować nie tylko materialną strukturę społeczeństwa, lecz i sposób myślenia całego narodu. Zgodnie z tradycją i przyzwyczajeniami Rosjanie są indywidualistami i lubią zajmować się handlem, chcąc zbudować nowy świat trzeba najpierw całkowicie zmienić ich psychologię. W odpowiedzi *Lenin* zapytał mnie, czy zdążyłem już zapoznać się z tym, co zostało dotychczas dokonane w dziedzinie oświaty. Pochlebnie wyraziłem się o pewnych rzeczach które widziałem. *Lenin* uśmiechnął się zadowolony. On sam bezgranicznie wierzy w podjęte przez siebie dzieło.

— *Ależ to są dopiero plany, pierwsze kroki* — rzekłem.

— *Zgadzam się, ale niech pan przyjedzie za dziesięć lat i zobaczy, co zdołaliśmy zrobić w Rosji przez ten czas* — odparł *Lenin*.

Rozmawiając z *Leninem*, zrozumiałem, że komunizm, nie bacząc na *Marksa*, mimo wszystko może być potężną twórczą siłą. Po tych wszystkich trudnych do strawienia fanatykach walki klasowej, z którymi spotykałem się w środowisku komunistów, scholastykach, operujących formułami bezpłodnymi jak kamień, po napatrzeniu się na niczym nie uzasadnioną i zarozumiałą pewność siebie dogmatyków marksistowskich, spotkanie z tym niezwykłym człowiekiem, który przyznaje się z całą szczerością do ogromu trudności piętrzących się przy budowie komunizmu, poświęca wszystkie swe siły dla osiągnięcia zamierzonego celu, podziałało na mnie wręcz ożywczo. W każdym razie ona sam, *Lenin*, wyraźnie widzi świat przyszłości, przeobrażony i zbudowany na nowych zasadach.

Lenin pragnął, bym podzielił się z nim odniesionymi podczas pobytu w Rosji wrażeniami. Nie ukrywałem przed nim, że — moim zdaniem — w pewnych wypadkach, a zwłaszcza gdy chodzi o Komunę Piotrogrodzką, komuniści postępują zbyt bezwzględnie i pośpiesznie, burząc wszystko zanim sami są w stanie coś zbudować. Oto na przykład skasowano radykalnie cały handel, zanim powzięto niezbędne kroki dla wprowadzenia kartkowego systemu przydziału żywności, zlikwidowano całą spółdzielczość, zamiast rozwinąć ją i wykorzystać, itd. Poruszenie tego tematu już po chwili ujawniło zasadnicze sprzeczności, jakie istniały pomiędzy poglądami ewolucyjnego kolektywisty i marksisty w następujących zagadnieniach: czy potrzebna jest rewolucja społeczna ze wszystkimi jej ostatecznościami, czy należy zniszczyć doszczętnie istniejący ustrój gospodarczy, zanim będzie mógł zacząć funkcjonować nowy? O ile chodzi o mnie, wierzę, że w wyniku dużej i uporczywej pracy wychowawczej o becny ustrój kapitalistyczny może nabrać cech bardziej „cywilizowanych" i zmieni się w światowy system kolektywizacji. Natomiast *Lenin* wyznawał od wielu już lat zasady nierozerwalnie związane z teorią marksizmu o nieuniknioności „walki klasowej", o konieczności całkowitego obalenia kapitalizmu, co stanowiłoby zaledwie wstęp do przebudowy społeczeństwa i dyktatury proletariatu, itd. *Lenin* jeszcze raz stanął w obronie twierdzenia, że *nowoczesny kapitalizm jest bezgranicznie żarłoczny, rozrzutny i głuchy na głos rozsądku, że zanim nie zostanie obalony, będzie nadal z całą bezmyślnością wyzyskiwał to wszystko, co stworzyły ręce ludzkie, że zawsze będzie się przeciwstawiał wykorzystaniu bogactw naturalnych dla dobra powszechnego, że wreszcie w sposób nieunikniony będzie doprowadzał do wybuchy wojen na świecie, gdyż dążenie do gromadzenia bogactw stanowi podstawę jego istnienia.*

Muszę przyznać, że zwalczanie jego twierdzeń nie było rzeczą łatwą. Naraz *Lenin* sięgnął po leżącą na jego biurku ostatnią książkę *Chiozza Moneya*, noszącą tytuł „*Triumf nacjonalizacji*". Najwidoczniej dobrze znał jej treść.

— *Niech pan spojrzy* — zwrócił się do mnie — *ilekroć zostaje u was stworzona jakaś sprawnie funkcjonująca organizacja spółdzielcza, mogąca z pożytkiem pracować dla ogółu, kapitaliści niezwłocznie obracają ją wniwecz. W podobny sposób zniszczyli wasze upaństwowione stocznie okrętowe, nie pozwalają na racjonalną eksploatację waszych kopalni węgla.*

— *O tym wszystkim mówi się tu* — dodał, uderzając ręką w książkę.

Kiedy w pewnym momencie powiedziałem, że wojna niesie ze sobą nacjonalistyczny imperializm, a nie kapitalistyczna forma organizacji społeczeństwa jako taka, *Lenin* zapytał mnie nagle:

— *A jakiego jest pan zdania o nowym republikańskim imperializmie, który idzie do nas obecnie z Ameryki?*

W tym miejscu do rozmowy wtrącił się pan *Rotsztejn*, powiedział coś po rosyjsku, na co *Lenin* nie zwrócił zupełnie uwagi.

Nie bacząc na upomnienia ze strony *Rotsztejna*, że powinno się zachować należną powściągliwość dyplomatyczną, *Lenin* zaczął mi opowiadać o projekcie, którym jeden Amerykanin zamierzał olśnić Moskwę. Projekt ten przewidywał: udzielenie pomocy gospodarczej Rosji i uznanie rządu bolszewików, zawarcie paktu obronnego przeciwko japońskiej agresji na Syberii, utworzenie amerykańskiej bazy morskiej na Dalekim Wschodzie i udzielenie Ameryce długotrwałej (50—60 lat) koncesji na eksploatację bogactw naturalnych na Kamczatce i może jeszcze na innych terenach Azji. Czyż przyczyni się to do utrwalenia pokoju? Czyż nie będzie to początek ogólnoświatowej awantury? Ciekaw jestem, czy ten projekt spodoba się angielskim imperialistom?

Kapitalizm — twierdzi *Lenin* — *to odwieczna rywalizacja i walka o zyski. Stanowi on dobitne przeciwstawienie poczynaniom kolektywizmu. Kapitalizm nie jest w stanie przekształcić się w jedność społeczną lub międzynarodową.*

— *Sądzę jednak* — odparłem — *że jakiś uprzemysłowiony kraj powinien przyjść Rosji z pomocą. Jest rzeczą niemożliwą, by mogła sama, bez niczyjej pomocy rozpocząć dzieło odbudowy....*

Nasza dyskusja, w której poruszyliśmy tyle najróżniejszych zagadnień, zakończyła się i — muszę to wyznać — nie zdołaliśmy uzgodnić naszych poglądów. Pożegnaliśmy się jednak jak najserdeczniej...

W drodze powrotnej ja i mój współtowarzysz musieliśmy się poddać tym samym formalnościom, co przy wejściu na Kreml.

— *Lenin to niezwykły człowiek* — oświadczył pan Rotsztejn. — *Popełnił jednak pewną nieostrożność....*

Nie byłem usposobiony do rozmowy.

Szliśmy do naszej willi drogą wysadzaną wspaniałymi drzewami, wzdłuż prastarej kremlowskiej fosy. Chciałem skoncentrować swe myśli na *Leninie*, dopóki pamięć moja zachowała każdy rys jego oblicza. Wszelkie komentarze ze strony mego współtowarzysza były mi całkowicie zbyteczne. Cóż, kiedy pan *Rotsztejn* mówił i mówił bez końca... Ciągle prosił mnie, bym nawet słówkiem nie wspomniał panu *Vanderlipowi* o owym planie amerykańsko-rosyjskiego zbliżenia, choć na początku rozmowy powiedziałem, że zbyt wysoko cenię dyskrecję pana *Vanderlipa*, bym chciał narazić ją na szwank jakimś nieostrożnym słowem.

I oto znowu dom na Wybrzeżu Sofijskim; zasiadłem wraz z mister *Vanderlipem* i młodym rzeźbiarzem z Londynu do nieco spóźnionego śniadania. Stary służący, podający do stołu, ze smutkiem patrzył na nasze mizerne menu, przypominając sobie owe wspaniałe czasy, kiedy w tym domu zatrzymywał się *Caruso* i kiedy śpiewał w jednej z sal na pierwszym piętrze przed audytorium złożonym z elity towarzyskiej Moskwy. Pan *Vanderlip* zaproponował, abyśmy w czasie dnia poszli obejrzeć główny rynek w Moskwie, a wieczór spędzili na oglądaniu baletu, ale ja i mój syn postanowiliśmy tego samego wieczora wyjechać do Piotrogrodu, stamtąd do Rewla, aby nie spóźnić się na statek odchodzący do Sztokholmu.

(„Rosja we mgle")

Tradycyjnym zwyczajem z okazji kolejnej rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej publikujemy blok materiałów związanych z tym wiekopomnym wydarzeniem. Specyfika naszego pisma narzuca nam jako oczywiste widzenie owych lat przez pryzmat kultury i sztuki Kraju Rad; dzieł towarzyszących narodzeniu historii bratnich narodów, a także jako okazję do zaprezentowania twórczości współczesnej.

Nie sposób jednak przy tej okazji nie odwołać się do refleksji ogólniejszej natury. Rewolucja Październikowa to nie tylko historyczny zwrot w dziejach świata, determinujący jego losy od ponad 60 lat. Dla nas, Polaków, dla polskiej państwowości także jeden z głównych wyznaczników „drugiej" niepodległości. W świadomości wielu pokoleń Polaków, w różnych splotach historii i meandrach polityki, ta prawda została trwale zapisana. Stanowisko Lenina i partii bolszewickiej zawarte m.in. w słynnym dekrecie o prawie narodów do samostanowienia, było jedną z podstawowych przesłanek odrodzenia się państwa polskiego w listopadzie 1918 roku.

Rok 1945 i wyzwolenie kraju przez Armię Czerwoną stało się podstawą do budowy „trzeciej" rzeczypospolitej, już jako państwa sojuszniczego, otwierając nowy rozdział historii dwóch narodów, złączonych i braterstwem wspólnie przelanej krwi, i wspólnotą socjalistycznej ideologii.

W przeddzień 64 rocznicy Rewolucji Październikowej wracamy myślami do przeszłości, co nie może być łatwe, przede wszystkim za sprawą dnia dzisiejszego.

Trudne czasy zawsze niemalże przymuszają do wyboru, do precyzowania postaw, są sprawdzianem faktycznych intencji. W tych trudnych czasach przyjaźń polsko-radziecka jawi się nową jakością w dotychczasowych stosunkach, potwierdza się faktami stara prawda o przyjaciołach, których naprawdę poznaje się dopiero w biedzie.

W okresie kryzysu, jaki przeżywamy, w ciężkich chwilach chybotania się struktur państwowych i społecznych, w rozprzężeniu politycznym i moralnym, aktywizuje się krzykliwy i spektakularny antysowietyzm, uprawiany na szczęście przez znikomy margines. Dla wszystkich patriotycznych sił w kraju są to incydenty obrzydliwe i haniebne, potępiane z całym zdecydowaniem.

Przyjaźń polsko-radziecka dla każdego rozumnego Polaka, świadomego historii i złożoności współczesnego świata, jest fundamentem przetrwania, wyjścia na pewną drogę i odnalezienia swego godnego miejsca wśród innych narodów.

Rocznicę Października trzeba związać i z tą nadzieją.

(JW)

Foto: Archiwum

KONSTANTY PAUSTOWSKI

POCZĄTEK NOWYCH CZASÓW

Pewnego razu w siwą od dymiącego mrozu, jesienną noc obudziłem się w swoim pokoju na pierwszym piętrze pod wpływem dziwnego uczucia: jakby ktoś nagle wycisnął z pokoju powietrze. Uczucie to sprawiło, że na parę sekund utraciłem słuch.

Zerwałem się. Podłoga była usłana kawałkami okiennego szkła iskrzącego się w świetle wysokiego zamglonego księżyca, wlokącego się nad śpiącą Moskwą.

Wokoło trwała głęboka cisza.

Nagle rozległ się huk i niosło się na wysokości wybitych szyb i zaraz z długim łoskotem runął narożnik domu obok Bramy Nikickiej. W pokoju gospodarza zapłakały dzieci.

W pierwszej chwili nie można było domyślić się, że to wali bezpośrednio na Bramę Nikicką działo ustawione obok pomnika Puszkina. To wyjaśniło się później.

Po drugim strzale ponownie zapanowała cisza. Księżyc nadal z uwagą spoglądał z ciemnego nocnego nieba na potłuczone szkło na podłodze.

Po kilku minutach, obok Bramy Nikickiej, zastukał długą serią kulomiot.

Tak rozpoczęła się w Moskwie październikowa bitwa, albo — jak mówiono wówczas — „przewrót październikowy". Trwała przez kilkanaście dni.

W odpowiedzi na ogień kulomiotu rozpętała się karabinowa strzelanina, kula mlasnęła o ścianę i przedziurawiła portret Czechowa. Później znalazłem ten portret pod osypanym tynkiem. Kula trafiła Czechowa w pierś i rozdarła białą pikową kamizelkę.

Strzelanina trzeszczała jak palący się chrust. Kule gęsto muskały na blaszanych dachach. Mój gospodarz, niemłody wdowiec, architekt, krzyknął na mnie, abym szedł do dalszych pomieszczeń. Jego pokoje wychodziły na podwórze.

U gospodarza na podłodze siedziały dwie małe dziewczynki ze starą nianią. Staruszka przykryła głowy dziewczynek ciepłą chustką.

— Tu bezpiecznie — powiedział gospodarz. **— Wątpię, by kule przebiły wewnętrzne ściany.**

Starsza dziewczynka zapytała spod chustki:

— Tato, czy to Niemcy napadli na Moskwę?

— Żadnych Niemców nie ma.

— Więc kto strzela?

— Zamilcz — ofuknął ją ojciec.

Wróciłem do swego pokoju i przycisnąwszy się do międzyokna spojrzałem na ukos przez okno. Księżyc był zaciągnięty czarnymi chmurami. Bryły domów z wygaszonymi światłami stały gdzieś, tuż obok, w ciemności. Nieustannie wybuchały połomyki wystrzałów i zawodziły kule. Raz to był cieniutki gwizd, raz skowyt, to znów dziwny, glekocący dźwięk, jakby kule koziołkowały w powietrzu.

Usiłowałem dostrzec ludzi, lecz wybuchy strzałów dawały na to zbyt mało światła. Sądząc po ogniu, czerwonogwardziści, nacierający z Placu Strastnego, dotarli już do połowy bulwaru, gdzie stał drewniany, groteskowy pawilon letniej restauracji. Junkrzy zalegli na placu, obok Bramy Nikickiej.

Nagle, pod oknami, z cichym sykiem zapalił się, falując na wietrze, wysoki, niebieski język ognia. Był podobny do pochodni. W jego martwym świetle ujrzałem nareszcie przebiegających od drzewa do drzewa ludzi.

Wkrótce druga sina pochodnia zapłonęła po drugiej stronie bulwaru.

To kule rozbiły szkła gazowych latarń i płonący gaz zaczął ulatniać się wprost z rur.

Jeden z piekarzy, młody chłopak, postanowił przedostać się do czerwonogwardzistów. Zaledwie wyskoczył, zgięty, z bramy na chodnik, kiedy ścięła go kulomiotowa seria z Bramy Nikickiej.

Siedząc w stróżówce, wracaliśmy pamięcią do minionych dni, dziwiąc się własnej niedomyślności. Walka dla nas rozpoczęła się nagle, a przecież wiedzieliśmy o powstaniu w Piotrogrodzie, o szturmie na Pałac Zimowy, o salwie z „Aurory", o tym, że w Moskwie został ogłoszony stan wojenny, że na Chodynce gromadziły się dobrze uzbrojone oddziały czerwonogwardzistów i żołnierzy, i że w szkołach wojskowych — Aleksiejewskiej i Aleksandrowskiej — zarządzono pogotowie bojowe.

Dowództwo w naszym domu przejął piekarz, portarturowiec. Z kranu w stróżówce cienką strużką saczyła się woda. Piekarz rozkazał zebrać z wszystkich pokojów wiadra i dzbany, nagromadzić wody na zapas. Bowiem w każdej minucie mogła przecież się skończyć.

Potem zebraliśmy wszystek chleb i żywność. Było tego niewiele.

Wiedzieliśmy, co się wokoło dzieje i byliśmy przekonani, że walki trwają w całej Moskwie. Rozumieliśmy jedno, że oto znaleźliśmy się w okrążeniu i jesteśmy jakby w fortecy ogarniętej pierścieniem ognia. Lecz forteca ta nie była bezpieczna. Już pod koniec pierwszego dnia kule zaczęły przelatywać przez podwórze.

Całą pierwszą noc przesiedzieliśmy na stopniach stróżówki, usiłując po sile ognia odgadnąć, kto bierze górę.

Nagle, w środku nocy, ogień ustał. Wytężyliśmy słuch. Cisza wydawała się bardziej niebezpieczna, niż huraganowy ogień. Ale trwało to niedługo. Wkrótce, w piekielnych ciemnościach, usłyszeliśmy oddalone, przeciągłe okrzyki: „Przekazać dowódcy! Junkrzy gromadzą się na dachach!"

Krzyk stawał się coraz bardziej trwożliwy, przynaglający: „Przekazać dowódcy! Junkrzy gromadzą się na dachach!" Od razu zerwała się strzelanina i ołowiany grad chlusnął o szyldy i rynny.

Pod wieczór drugiego dnia, zapalił się dom „na strzałce", gdzie mieściła się apteka. Płonął różnokolorowym płomieniem: żółtym, zielonym, niebieskim. Pewnie od lekarstw. Głuche detonacje rozlegały się w jego piwnicach. Od tych wybuchów dom szybko runął. Płomień przygasł, lecz gryzący, różnokolorowy dym kłębił się nad pogorzeliskiem przez kilka następnych dni.

Na naszym domu zaczął zwijać się blaszany dach i poczęły dymić drewniane ramy. Ale, na szczęście, dom się nie zapalił.

Dusiliśmy się i płakaliśmy od dymu, obwiązywaliśmy twarze mokrymi chustkami, ale to prawie nie pomagało.

* * *

Tejże nocy, na nasze podwórze, oświetlone pożarem tak mocno, że widać było każdy śmieć leżący na bruku, jakimś cudem, przez wybite okno na parterze od strony Bulwaru Twerskiego, wlazł człowiek w szarej marynarce ściągniętej żołnierskim pasem, z mauzerem, w okularach i ciemnoblond bródką. Był podobny do Dobrolubowa.

— Spokojnie! — krzyknął. **— Mieszkańcy, do mnie! Dogadaliśmy się z junkrami. Za chwilę my i oni przerwiemy ogień, by wyprowadzać z tego domu kobiety i dzieci. Tylko dzieci i kobiety! Mężczyzn nie wypuścimy. Wasza sytuacja jest niewesoła — dom za godzinę, dwie zacznie się palić. Dlatego też mężczyźni, według mnie, mogą także zaryzykować. Oczywiście, potem, jak wyjdą kobiety i dzieci. Wychodzić przez Bulwar Twerski na Bronną. Iść pojedynczo, zbiórka w bramie.**

Człowiek tak samo szybko znikł, jak się pojawił.

Wszyscy zebrali się w bramie. Ogień ścichł. Pierwsza podreptała przez bulwar nasza stara niania z dwiema dziewczynkami. Za nią pobiegły pozostałe kobiety.

Póki kobiety przebiegały przez bulwar, czerwonogwardziści orzekrzykiwali się z junkrami:

— Hej, wy! Temblaki, smarkacze! — krzyczeli czerwonogwardziści. **— Dość głupstw. Rzucajcie broń!**

— Przysięgaliśmy — krzyczeli w odpowiedzi junkrzy.

— Komu? Kiereńskiemu? On, sukienkot, uciekł do Niemców.

— Rosji przysięgaliśmy, a nie Kiereńskiemu!

— A my właśnie jesteśmy Rosja! — krzyczeli czerwonogwardziści. **— Trzeba myśleć!**

Gdy tylko przebiegły kobiety, z bramy wyskoczył stary piekarz. Za nim miałem biec ja. Ale natychmiast od strony junkrów chlusnęła kulomiotowa seria i obłupała róg bramy.

Piekarz rzucił się z powrotem. Ponownie zagrzmiały wystrzały, a na chodnik posypało się szkło, drzazgi i odpryski cegieł.

Wróciliśmy do stróżówki.

Piekarz poprzeklinał trochę i powiedział:

— Ech, gdyby się udało, poszlibyśmy z tobą do czerwonogwardzistów. Wzięliby cię, gdybyś był ze mną, chociażeś student. Jakby nie patrzeć. Rosja jest jedna. Nasza Rosja. A ta ichnia już cuchnie kadzidłem.

* * *

Odwróciłem się od okna i wtedy usłyszałem na frontowych schodach szybki tupot butów. Z trzaskiem otworzyły się drzwi do przedpokoju, siłą uderzając o ścianę. Z sufitu posypał się tynk. Podniesiony głos w przedpokoju krzyknął:

— Mitiucha, dawaj tu kulomiot!

Obejrzałem się. W drzwiach stał starszy człowiek w uszance, z taśmą kulomiotową przez ramię. W rękach trzymał karabin. Przez moment, uważnie i z napięciem, popatrzył na mnie, potem szybko wycelował karabin i krzyknął:

— Nie ruszać się! Podnieść ręce!

Podniosłem.

— Co tam, ojczulku? — zapytał z korytarza młody głos.

— Mamy jednego — odpowiedział człowiek w uszance. **— Strzelał. Z okna do nas strzelał, gadzina! W plecy!**

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że mam na sobie wyleniały studencki surdut i przypomniałem sobie, że według słów piekarza, obok Bramy Nikolskiej, po stronie Rządu Tymczasowego walczył oddział studencki.

Do pokoju wszedł młody robotnik we wciśniętym na uszy kepi. Kołysząc się, podszedł do mnie, leniwo wziął moją prawą rękę i uważnie obejrzał dłoń.

— Widać, że nie strzelał, ojczulku — powiedział dobrodusznie. **— Nie ma znaku od zamka. Ręka czysta.**

— Ożeż, ty łbie zakuty! — krzyknął człowiek w uszance. **— A jeśli on strzelał z pistoletu, a nie z karabinu? A pistolet wyrzucił. Prowadź na podwórze!**

— Wszystko możliwe — odpowiedział młody robotnik i klepnął mnie po ramieniu. **— Ano, dawaj do przodu, tylko bez kawałów.**

Cały czas milczałem. Dlaczego, nie wiem. Prawdopodobnie cała ta sytuacja była na tyle beznadziejna, że usprawiedliwienie się nie miało sensu. Zastano mnie w pokoju na pierwszym piętrze, obok wybitego okna, w domu dopiero co zajętym przez czerwonogwardzistów. Miałem na sobie pobrudzony tynkiem i poplamiony podejrzanymi, burymi plamami po pomidorach, studencki surdut. Cokolwiek bym powiedział i tak by mi nie uwierzono.

Milczałem, zdając sobie sprawę, że to milczenie jest dodatkowym, obarczającym dowodem przeciwko mnie.

— Uparty diabeł — powiedział człowiek w uszance. **— Od razu widać, że pryncypialny.**

Prowadzono mnie na podwórze. Młody czerwonogwardzista popychał mnie w plecy lufą karabinu.

Podwórze było pełne czerwonogwardzistów. Wyciągali z rozbitego magazynu skrzynie, i budowali z nich barykadę w poprzek Bulwaru Twerskiego.

— O co chodzi? — zaczęli pytać czerwonogwardziści otaczając mnie i moich konwojentów. **— Kto zacz?**

Człowiek w uszance powiedział, że z okna strzelałem im w plecy.

— Na drobne go! — krzyknął wesoło chłopak z podpitym spojrzeniem. **— Do sztabu Pana Boga!**

— Dawać tu dowódcę!

— Nie ma dowódcy!

— Gdzie dowódca?

— Był rozkaz, aby jeńców nie ruszać!

— Jeńców, tak. A ten walił w plecy!

— Na to jedna odpowiedź: rozwałka na miejscu.

— Towarzysze, bez dowódcy nie można.

— Prawodawca się znalazł. Pod ścianę go!

Powiekli mnie pod ścianę. Ze stróżówki wybiegła żona dozorcy. Rzuciła się ku czerwonogwardzistom i zaczęła nerwowo chwytać ich za ręce.

— Synkowie! Towarzysze! — krzyczała. **— Przecież to nasz lokator. On do was nie strzelał. Mnie życie niepotrzebne, jestem chora, lepiej mnie zabijcie!**

— Ty, matko, nie masz prawa żałować każdego jednego bez różnicy — powiedział rozsądnie człowiek w uszance. **— My także mamy dusze. Odejdź, nie przeszkadzaj.**

Nigdy nie potrafiłem zrozumieć — ani wówczas, ani teraz — dlaczego, stojąc pod ścianą i słysząc szczęk zamków, absolutnie niczego nie odczuwałem. Być może było to nagłe otępienie, albo zanik świadomości, nie wiem. Jedynie uważnie patrzyłem na róg bramy, obłupany serią z kulomiotu i o niczym nie myślałem. Ale ten róg bramy zapamiętałem w najmniejszych szczegółach.

Wydało mi się, że czas zatrzymał się w miejscu, a ja zostałem pogrążony w jakąś wszechogarniającą niemoc. W rzeczywistości minęło zaledwie parę sekund, kiedy usłyszałem obcy, a jednocześnie jakby bardzo znajomy głos:

— Po kiego diabła rozstrzeliwujecie?! Zapomnieliście o rozkazie?! Opuścić karabiny!

Z trudem oderwałem oczy od rogu bramy — okropnie bolała mnie szyja — i ujrzałem człowieka z mauzerem, podobnego do Dobrolubowa, tego samego, który przyszedł do nas w nocy, aby wyprowadzić kobiety i dzieci. Był blady, nie patrzył na mnie.

— Zostawcie! — powiedział ostro. **— Znam tego człowieka. W oddziale studenckim nie był. Junkrzy nacierają a wy galimatias powodujecie!**

Człowiek w uszance chwycił mnie za pierś, mocno potrząsnął i powiedział ze złością:

— Mać twoja czartowska! O mało przez ciebie nie zbrukałem swojego sumienia, ty łbie zakuty! Dlaczego milczałeś? tego student!

* * *

Szary świt zaczął sączyć się od wschodu. Chłodny świt wczesnego ranka. Było niezwykle cicho w Moskwie, tak cicho, że słyszeliśmy jak syczą płomienie latarni gazowych na bulwarze.

— Jakby koniec — półgłosem zauważył stary piekarz. **— Trzeba by zobaczyć.**

Ostrożnie wyszliśmy na Twerski Bulwar.

W szarym przymrozku i dymie stały lipy z poprzetrącanymi konarami. Wzdłuż bulwaru, do pomnika Puszkina, płonęły żałobne znicze rozbitych gazowych latarni. Cały bulwar był pełen pozrywanych kabli, które żałośnie dzwoniły, bujając się i uderzając o uliczne kamienie. Na szynach tramwajowych leżał, szczerząc żółte zęby, zabity koń.

Obok naszej bramy, długim strumykiem ciągnęła się po bruku zamarznięta krew. Z domów, zniszczonych ogniem kulomiotów, sypały się resztki okiennego szkła i cały czas było słychać jego dźwięczne brzęczenie.

Całą szerokością bulwaru, w stronę Bramy Nikickiej, szli zmęczeni, milczący czerwonogwardziści. Czerwone opaski na ich rękawach były skręcone jak powrósła. Prawie wszyscy palili i ogniki papierosów żarząc się we mgle, były podobne do bezdźwięcznej, karabinowej kanonady.

Obok kina „Union", do latarni była przymocowana biała flaga.

Obok flagi, pod ścianą domu, w szeregu stali junkrzy w wymiętych furażerkach i szarych od tynku płaszczach. Wielu drzemiąc, opierało się na karabinach.

Do junkrów podszedł człowiek bez broni, ubrany w skórzaną kurtkę. Za nim zatrzymało się kilku czerwonogwardzistów.

Człowiek w skórzanej kurtce uniósł rękę i coś po cichu powiedział do junkrów.

Od stojących junkrów odłączył się wysoki oficer. Odpiął szablę i rewolwer, rzucił je pod nogi człowieka w skórzanej kurtce, zasalutował, odwrócił się i, chwiejąc, powoli odszedł w stronę Placu Arbackiego.

Za nim wszyscy junkrzy po kolei podchodzili do człowieka w skórzanej kurtce, rzucali u jego stóp karabiny i naboje. Później, tak samo zmęczeni, wolno jak ich oficer, odchodzili Bulwarem Nikickim w stronę Arbatu. Niektórzy, idąc, zrywali swoje pagony.

Czerwonogwardziści, w milczeniu, ze skupionymi twarzami, spoglądali na junkrów. Nie padł ani jeden okrzyk, ani jedno słowo.

Przełożył:
EUGENIUSZ IWANICKI

Niniejszy tekst pochodzi z książki „Opowieść o życiu", w której znakomity pisarz zawarł rozległy materiał faktograficzny, obejmujący swym zasięgiem ostatnie lata XIX wieku oraz pierwsze dziesięciolecia obecnego stulecia. Wśród innych, ważnych wydarzeń są w niej stronice poświęcone wybuchowi Rewolucji Październikowej.

BOHDAN I. ANTONYCZ

GOŹDZIKI

Zielony zmierzch. Wiosenne posły
goździki. Mocnom dzisiaj spity!
Jaki świat wielki i podniosły!...
I znowu czytam twoje listy.

W górze zielona otchłań światła,
jej jądro — elektryczny goździk.
Że nasza młodość nie wieczysta —
tak, z tym niełatwo się pogodzić.

Lecz kiedyś każde z nas przywyknie...
Cóż, póki trwa ten świętny omam —
Zażyłość z życiem nie zaniknie,
co nas, o moja uwielbiona,
namaszcza olejami wiosny.

ZNAK LWA

Zmarłych kwiatów cesarstwo — śpi pustynia
w koszuli krasno-złotej usypiska.
Skarlały oset — diabelska roślina.
Ekstaza słońca i gonitwa błyskań.

Płonące świeczki ponad ziemi trumną,
burzan się zmienia nagle w krzak ognisty.
Zda się, że dłonie gąszcze krzów rozsuną
i obnażają wiry przepaściste.

I widzisz wieczność — niebiosa w opałach,
i szum płonącej czerwieni potoków.
Zza gór gwiazdozbiór Lwa wieczność zapala —
ten znak monarchów, wodzów i proroków.

Przyćmione słońce od ptaków szaroty,
wieńczy je wawrzyn sinej nawałnicy
i piorun, jak na księdze podpis złoty,
trwa na pustyni otwartej stronicy.

W cesarskiej księdze znów autograf gromu
jest zapisany wichrami z Synaju
i brokat wzdartych piaszczystych ogromów
wiankami bożych błyskawic się mal.

Wichrze Synaju, bij w odkryte karty!
Bez ciebie formą jam nie wypełnioną.
Nad wieszczym źródłem trzymaj za dnia wartę,
w noc bądź mi biblią czarną i czerwoną.

TARNINA ŚPIEWA

Druhu mój, laurze, co wieńczysz czoła piewców
podniosłych,
o muz cudowny posłańcze z liśćmi jak ostrza
stali,
twa nie znająca śmierci zieloność roślinnoostra
nagrodą za formę dzieła i owoc twórczych
szaleństw.

O dębie, kniaziu puszcz, o drzewo dostojne
monarsze
w mitrze jesieni, w purpurze liści, o pniu
chropawym,
który, by w cieniu spoczęli znużeni srogim
marszem,
przychylasz do ust zwycięzców szorstką
komunię sławy.

I ty, drzewo oliwne, które nie więdniesz, bogate
w zielone złoto i rośniesz jeno same dla siebie,
uczysz z życiem przymierza, uczysz zielonej
nadziei,
Noem, co w dali błądzą, szum luby sziesz przez
podniebie.

A jednak nie przesławne nad bugajami
wielmoże,
lecz ja, tarnina pokorna, pokurcz drzewa
przyziemny,
krzew nielubiany, wzgardzony, tak zwykły i
tak nikczemny,
doznałem łaski największej — wieńczyłem
czoło Boże.

Przełożył z ukraińskiego
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

WOLHA IPATAWA

SYN

„...Któraż to wiosna, że znów się możemy
zobaczyć:
Rozsądne prawie od powicia
Dziecię i ja, co w chwili rozpaczy
Nie chciałam dać mu życia.
Przychodzi.
Śmieje się
głosem dzwoneczka.
Unoszę go w rękach: Mego syneczka,
Moje oczka siwe.
Ale jakby coś mglistego
Przepływa przez palce —
i nie ma niczego.
Siedzę.
Koszulkę małemu wyszywam,
A nitka tak drży, niczym żywa.
A może wysunta z kłębka niteczka
Pokaże mi drogę do mego syneczka.
Milczenie w pokoju.
Samotność aż dzwoni.
Zmarszczek przybywa powoli na skroniach.
A syn tylko w snach.
Więc pieszczę sny moje.
I na te sny czekam.
I snów tych się boję..."

NATALIA ASTAFIEWA

SURIKOW

Ranek tyle błękitu rozsiał,
przez mgłę śnieżystą złocił się krzyżami,
jak gdyby sama
o świcie
Rosja
wyszła i biegła w ślad za saniami.

Na prawo koszul śmiertelnych białość,
tlą się świeczki w rękach skazanych,
tuż szafot, soboru Błażennego jaskrawość
a w twarzach ten sam
odwieczny znany
ogień.

DANUTA BICZEL-ZAHNIETAWA

ODPOWIEDŹ

Trzymajcie za zębami
język dyplomatów.
Słowa współczucia
dawno zużyto.

I tak otrzymam to,
na co zasługuję:
bór na horyzoncie,
ścieżynkę przez żyto

Przełożył
JAN HUSZCZA

MAKSIM TANK

CYPRIAN KAMIL NORWID

Trzebaż ci było w życiu swoim doznać
Tyle tęsknoty za dalekim krajem,
Złych czasów, biedy, goryczy aż do dna
I nienawiści zoilowskiej zgrai,

Trzebaż ci było oczami proroka
Dojrzeć i bronzu i cokołu kruchość
I własny trumf za epoką głuchą —
Żeby się zaszyć w samotności mrokach

I drzwi, pytaniem jak grom, zamknąć gniewnie:
„Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie,
Że ci ze złota statuę lud niesie,
Otruwszy pierwej?..."

RYHOR BARADULIN

ADAMOWI MICKIEWICZOWI

Poeci rodzą się w karczmie,
Żeby ich potem
Opłakiwały świątynie.
Wygnańcowi
Nie w plecy dmie wiatr, —
Dźwiga znieważoną ojczyznę
Ze sobą.

Chmur stado
Świtezi łzę strząśnie,
Jak ten paw z pieśni
Lecący przez sad.
Na sarkofagu róże
W rosie,
Poecie —
Nie próżności wyniosłe!

Milczą krypty królów...
Wieki
Umilkły nad heraldyką
Niemą.
Spyta ktoś:
— Jaki wtedy był król,
Gdy poeta pisał:
O j c z y z n o m o j a?...

MAKSIM TANK

MODLITWA

Ty,
Co dajesz bez bólu
Liściom jesiennym spadać,
Łzom rosy
W bruzdach Ziemi
Wysychać, w słońcu spalać,
Płomieniom z wolna topnieć
W popielejących zgliszczach,
Echu wygasać ciszą
W puszcz mrocznych uroczyskach,
Kraj rzucać w czas wyraju
W jesienny czas września —
Spraw,
Bym mógł z lekkim sercem
Rozstać się z moją
Poezją.

Przełożył
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

JURIJ BIELICZENKO

ETIUDA REWOLUCYJNA

Paryż. Muzyki fale płyną —
do świtu przypływ dźwięków trwa.
Beduin konia ostro wspina
na płótnie u Delacroix.

Drży płomień świec. Aż do alkowy
z poddasza wpada wiatru wiew
i Szopenowi purpurowa
majaczy się ojczysta krew.

W Warszawie rozpacz.
Nad braćmi mrok.
W cierpiących oczach nie ma łzy.
Szopen odświętną muzy postać
jak dziewkę posłał dziś za drzwi.

On wie, że pośpiech w chwili takiej
konieczny jest dopóki dłoń
po klawiaturze smętnym ptakiem
lecz nim spadnie w mroczną toń.

Dopóki oddech nie stanie
i świece ronią krople łez,
drży w gardle muzyki nazwanie
tego,
co nie nazwane jest.

Tego, co musi być nazwane,
co niewolnicze pęta rwie — to zawołanie,
tak naturalne,
jak westchnienie
niepowtarzalne,
jak losu bieg!

DAŁHAT HASANOW

ŻEGNAJ WARSZAWO

Żegnaj Warszawo, miła mi Warszawo!
Jak twój przyjaciel z sinych gór dalekich,
Z tobą, okrytą wielowieczną sławą
Rozmawiam często tu nad brzegiem rzeki.

Nieraz wpatrzony w nurt błękitnej Wisły,
Wyznaję szczerze nic nie ukrywając,
Nad brzeg Sułaku kierowałem myśli
I duszą byłem w swym rodzinnym kraju.

I wystarczyło bym usłyszał płytę
Z nagranym na niej staromodnym twistem —
Lezginkę wspominałem wnet z zachwytem
I zurny dźwięk i głos fujarki czysty.

Tu w każdym miejscu do podziwu skłonić
Oczy i duszę tyś zawsze umiała —
I klinga miecza u Syreny w dłoni
Broń dagestańską dziś mi przypomniała.

Żegnaj Warszawo i na pożegnanie
Zechciej przybysza z daleka zrozumieć,
Że twoje dary, gór sinych mieszkaniec,
Ceni jak góral — inaczej nie umie.

JANKA KUPAŁA

Z PIEŚNI O BITWACH

Dokoła surmy grzmią bojowe,
Wicher roznosi gromkie tony
I jakiejś dziwnej pieśni słowa
Lecą na wszystkie strony.

O sławie cudnej grają surmy,
O wspólnym szczęściu wszystkich ludzi,
O tym, że wolność zdobyć szturmem
Już pora... nikt się nie chce trudzić...

Daremnie surmy dzwonią gromko,
Lud oszukany się załamał, —
Ten śpi, ten się bez celu błąka.
Łączy ich rozpacz taka sama.

I tylko tyran się uśmiecha,
Krążąc jak szakal wśród umarłych, —
Wśród ofiar, których nie poniechał,
Którym zacisnął sznur na gardłach.

Aż strach oglądać siłę w pętach
I lud co poddał się rozpaczy,
Już lepiej by cię ziemia święta
Skryła, byś świata nie zobaczył.

I chodzisz niby zaczadziały,
Z ludźmi się chcesz podzielić żalem,
A potem krzyknąć na świat cały:
Gdzież prawda, wola, gdzie je znaleźć?!

A wokół surmy grzmią bojowe,
Wicher roznosi gromkie tony
I jakiejś dziwnej pieśni słowa
Lecą na wszystkie świata strony.

Przełożył
IGOR SIKIRYCKI

TEATR

PAMIĘTNIK MATKI

Wybór repertuaru najdowodniej zazwyczaj świadczy zarówno o umiejętności poszukiwania, o rozległości dostępnego poszukującemu terenu owych penetracji, o tym co nazwalibyśmy „zakresem lektur i zainteresowań" o upodobaniach i postawach, o wyczuciu potrzeb potencjalnego i rzeczywistego odbiorcy, o umiejętności dokonywania przez twórców i zespoły krytycznej analizy własnych możliwości realizacyjnych, o artystycznej i ideowej odwadze bądź koniunkturalizmie, o obywatelskiej świadomości i o całym szeregu innych jeszcze rzeczy, których wymieniać tu nie będę, a które są oczywistą konsekwencją zawartości treściowej wymienionych wyżej pojęć.

Dla siebie i kierowanego przez siebie od niedawna zespołu **Teatru im. Juliana Tuwima**, ale przede wszystkim dla publiczności tego teatru, **Karol Obidniak** wybrał **„Pamiętnik matki" Marcjanny Fornalskiej**.

Dokonawszy tego wyboru napisał **Obidniak** scenariusz widowiska teatralnego na motywach książki **Fornalskiej**. Widowisko otrzymało tytuł pierwowzoru literackiego i stało się pierwszą (nie licząc przejętego wraz z dobrodziejstwem inwentarza nieszczęsnego „Tuwima..") premierą cyklu, którym nowa dyrekcja pragnie wznieść swój teatr na wyżyny prawdziwej sztuki.

Każda adaptacja sceniczna każdego utworu literackiego każdemu adaptatorowi stwarza wynikające z jej istoty trudności. Żadna nie stanowi przekładu literatury na język teatru tak wiernego jak życzyliby sobie tego widzowie, nie zawsze świadomi konsekwencji wynikających z już choćby ilościowej odmienności tworzyw literatury i teatru. Dodać tu jeszcze należy tę subiektywną i osobniczą miarę przykładaną do adaptacji przez widzów: miarę, która stanowi zderzenie bardzo dla nich istotnych własnych wyobrażeń i wizji z konkretyzacji przez reżysera, narzucającego odbiorcy swoją, w gruncie rzeczy także przecież subiektywną wizję sceniczną. Wierność zarówno literze, jak i duchowi pierwowzoru, zgodność lub rozbieżność zrodzonych w czasie lektury wyobrażeń ze sceniczną rzeczywistością, są najważniejszą miarą wartości adaptacji, w której zastosowaniu największą pomocą służą widzowi szczegóły identyfikujące zarówno miejsca jak i osoby, szczegóły biografii, drobne, a charakterystyczne fakty.

Karol Obidniak ze szczegółów zrezygnował niemal całkowicie, a faktów pozostawił w swoim scenariuszu tylko tyle, ile potrzeba ich dla najogólniejszej identyfikacji i charakterystyki postaci bohaterów. Dowiadujemy się więc tego, co niezbędne o życiu **Marcjanny Fornalskiej** i tylko tego co z perspektywy historii okazało się najważniejsze w życiu jej córki **Małgorzaty**. Zabieg ten daje dwojakiej wartości efekt, dwojakiej i nieco ambiwalentnej: z jednej bowiem strony staje się dosyć udaną próbą uogólnienia i takiej uniwersalizacji losów bohaterek, że prowadzi ona do ich zmetaforyzowania, z drugiej zaś zubaża ich portrety psychologiczne, które w pierwowzorze literackim fascynują bogactwem odcieni i złożonością barw. Są to jednak normalne i chyba wliczone w ryzyko całego przedsięwzięcia zyski i straty, których rachunek nakazał twórcy przedstawienia przyjęcie takich właśnie propozycji. Te zaś są oczywiście dyskusyjne, ale przecież możliwe do zaakceptowania. Cały zresztą spektakl wydaje się być zrodzony z chęci zmetaforyzowania jednostkowego losu i — obok — z chęci nadania jednostce rangi symbolu. Tyle tylko, że — sprowadzając już rzecz do realiów przedstawienia — zamiar ten przyniósł w warstwie słownej dwu wiodących ról ledwie schematy postaci, które dopiero interpretacja aktorska wypełniała żywą treścią i ludzką, osobistą prawdą, skrywanych przeżyć i niewyartykułowanych refleksji.

Dla prezentacji równolegle i wynikowo toczących się losów głównych bohaterek znalazł **Karol Obidniak** skuteczny i niewal gwarantujący uzyskanie pożądanego efektu klucz adaptacyjny. Literacką formę pamiętnika przełożył na dramatyczną formę monologu, że zaś obie są formami narracyjnymi, przeto słusznie wydały się autorowi najbardziej dla siebie odpowiednie.

Dzięki zastosowaniu monologu jako formy organizującej całość materiału literackiego, spektakl ten w obydwu swoich częściach uzyskał niezbędną klarowność i jasność. Nasycenie emocjonalne uczyniło go pełnym dramatyzmu. Stałoby się też to przedstawienie widowiskiem jednorodnym i niemal szlachetnym w rysunku, gdyby nie wprowadzone przez reżysera do pierwszej części widowiska (zapewne dla „rozładowania napięcia") sceny z gatunku „lżejszych", które mając „szwejkowski" zgoła charakter, niepotrzebnie rozbiły atmosferę i złamały głęboki wyraz dramatyczny, tym skuteczniej, że właśnie eskalacja napięcia wydawała się niezbędna dla uświadomienia sobie i zrozumienia ludzkiej wielkości bohaterki. Zarówno jednak monologi, jak i sposób łączenia tych form z rozgrywającymi się retrospektywnie scenami dialogowymi cechuje jasność konstrukcji. Konstrukcja ta określa tempo spektaklu. To zaś najwłaściwsze wydało mi się w drugiej części przedstawienia.

Foto: W. Książek

Na zdjęciu Danuta Kłopocka (Marcjanna Fornalska) i Jolanta Szajna (Małgorzata).

Ograniczając środki reżyserskie do niemal absolutnego minimum i opierając całą konstrukcję przedstawienia na dwóch monologach, główny ciężar autentyzmu przeżyć i faktów z życia bohaterów wiążących ich z wielką historią przerzucił reżyser na płaszczyznę działań aktorskich.

Otrzymawszy od reżysera zadanie wykreowania postaci pełnokrwistych z jednej i na tyle uogólnionych, by stanowić mogły symbole wspaniałych postaw z drugiej strony, zadanie — przyznajmy — trudne, odtwórczynie postaci Marcjanny Fornalskiej — **Danuta Kłopocka** i jej córki, Małgorzaty — **Jolanta Szajna**, wywiązały się z tego zadania dobrze. Nazbyt „literacka" miejscami warstwa słowna ich ról stwarzała trudne do przebycia mielizny. I tak **Danuta Kłopocka** bardzo przekonywająca w roli matki w akcie pierwszym, mniej przekonywająca musiała wydać się w akcie drugim, a **Jolanta Szajna** dopiero w akcie drugim zaprezentować mogła elementy dramatycznego wyrazu. To wyraźne przenoszenie proporcji wydało mi się skutkiem nie tylko konstrukcji fabularnej całego scenariusza, ale przede wszystkim takiego właśnie nierównomiernego rozłożenia akcentów dramtycznych. Żadna z tych kobiet w żadnym momencie ich wspólnego życia nie stanowiła tła dla drugiej. Wzajemne zależności ich losów i przeznaczeń czyniły je nawzajem i w równej mierze niezbędnymi sobie i brak owej organicznej spójności i równowagi wydaje mi się skazą całego widowiska, ale mimo, iż skaza ta jest wyraźna, to jednak „osobne" (bo pojawiające się po sobie, a nie równoległe) portrety obydwu kobiet, z którymi widz opuszcza teatr po zakończeniu przedstawienia, czynią duże wrażenie indywidualnym wyrazem nadanym im przez aktorki w zasadniczych dla ich ról momentach dobranymi środkami scenicznej ekspresji. Portrety te mają swój historyczny i teatralny kontekst, tło tworzone przez inne, epizodycznie potraktowane zarówno przez autora, jak i wykonawców role, z których najbardziej podobać się mogła rola Jantka zagrana z taktem i kulturą, na bardzo ciepłej nucie przez **Euzebiusza Olszewskiego** i rola gestapowca, w której obejrzeliśmy **Włodzimierza Tympalskiego**. Wyraźnie zaznaczył swoją obecność **Jerzy Krasuń**.

Szlachetności i dramatyzmu przydała całemu przedstawieniu oszczędna scenografia **Ewy Kałczak i Konstantego Mackiewicza**, którego z radością, po wielu latach przerwy w twórczości scenograficznej witamy na łódzkiej scenie. Nieco natrętnie dramatyczny wyraz miała linia melodyczna muzyki skomponowanej do tego przedstawienia przez **Ryszarda Gardo**. Nie podobała mi się instrumentacja jego kompozycji, chwilami brzmieniem sprawiająca wrażenie niemal „dyskotekowe".

Przedstawienie, którego premiera odbyła się kilka zaledwie dni temu, wydaje się być owocem wielkiej mobilizacji całego zespołu **Teatru im. Juliana Tuwima**. Owoc ten jest odmienny w artystycznym smaku od wszystkiego, co w ostatnich czasach oglądaliśmy na tej scenie, i wypada mi jedynie prosić zarówno kierownictwo, jak i zespół tego teatru, by wszyscy jego członkowie nie tylko nie osłabiali owego napięcia, ale konsekwentnie intensyfikowali je dla powodzenia następnych, zapowiedzianych już, jeszcze trudniejszych jak mi się wydaje, przedsięwzięć.

EWA PANKIEWICZ

LITERATURA

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

KSIĄŻKI Z RÓŻNYCH OKOLIC

„Trzy etiudy kryminalne" pozornie tylko odbiegają od zasadniczego nurtu pisarstwa Władysława Terleckiego. Współczesność akcji manifestowana już w tytule intryga kryminalna posiadają po prostu znaczenie drugorzędne. Realia w twórczości Terleckiego uwierzytelniają jedynie fabułę, wymowa jego utworów zmierza ku stwierdzeniom ponadczasowym. Podobnie „sprawy kryminalne" — nie chodzi o przekroczenie prawa przede wszystkim, idzie raczej o naruszenie norm moralnych i to często tych nie objętych kodeksami. W tej sytuacji również „Trzy etiudy kryminalne" nabierają cech przypowieści.

Bohater pierwszej z nich **„Biura pisania podań"**, dochodzi w pewnym momencie do następującej konkluzji: **— „A więc to jest najważniejsze — ład sumienia, uspokojenie serca. O ileż trudniej podzielić się z drugim człowiekiem podobną tajemnicą!"** Tym razem — w odróżnieniu od powieści i opowiadań historycznych — bohaterom Terleckiego doskwierają sprawy można by rzec pospolite, jednostkowe, przeciętne. Nie mają one wymiaru odpowiedzialności za grupę ludzi, nie dotycza roztrząsań dziejowych, nie noszą charakteru sporów o przeszłość i przyszłość narodu. Niemniej jednak okazuja się bardzo dokuczliwe. Tym razem bowiem bohaterowie Terleckiego uwikłani są w codzienność, „szarzyznę" życia, z której wytraca ich niespodziewane wydarzenie. Z konsekwencjami tego wydarzenia starają się uporać z wielkim trudem. Pospolitość egzystencji i spraw wcale nie stanowi o wielkości i jakości bólu, jaki im dokucza.

Zaproszony przez miesięcznik „Znak" (1981 nr 1—2) do udziału w ankiecie „Dostojewski dzisiaj" Władysław Terlecki na pytanie „Jaki morał wyciągam z lektury Dostojewskiego?" odpowiedział zwięźle: „Że praca, którą uprawiam jest pokutą". Stwierdzenie to przyjąć można z żartobliwym zdziwieniem, przyjąć je też można z absolutną powagą. Tym bardziej iż w wielu książkach Terleckiego problem p o k u t y wysuwa się na plan pierwszy (por. np. „Czarny romans", „Odpocznij po biegu", „Zwierzęta zostały opłacone"). Również w „Trzech etiudach kryminalnych" pokuta należy do spraw najważniejszych i polega na rozpamiętywaniu niedawnych (a niekiedy też odległych) wydarzeń, porządkowaniu ich, na usiłowaniu nadania im nowych, innych, osłabiających brutalność losu, łagodzących chaos życia — znaczeń. Czy to się bohaterom opowiadań Terleckiego udaje? Na to pytanie niechaj Czytelnik odpowie samodzielnie.

Wyraźnie uwidacznia się ironia, a nawet autoironia. Oto do opowiadania **„Przyjdę do pani znów za rok"** wprowadza Władysław Terlecki postać pisarza, ni mniej ni więcej — samego siebie. Można się o tym przekonać na podstawie licznych szczegółów oraz dość dokładnego streszczenia powieści opartej na epizodach z życia Stanisława Ignacego Witkiewicza **„Gwiazda Piołun"**. Streszczenie owo kończy się znamiennym przekonaniem: **„... nie pisze się już dziś ciekawych powieści"**. A może to wszystko nie jest autoironią, lecz zwykłą przekorą? W każdym razie zabieg ów bezsprzecznie ożywia lekturę, wskazują ponadto na związek tej prozy po prostu z bieżącym życiem.

Beznamiętny na pierwszy rzut oka tok prozy Władysława Terleckiego zmierza ku wnikliwej analizie postaw życiowych. Relacja wydarzeń, rekonstrukcja przemyśleń przypomina ś l e d z t w o (obowiązuje przecież konwencja kryminalna!) usiłujące ustalić — najogólniej mówiąc — miejsce człowieka w rzeczywistości. Owo śledztwo zdecydowanie trzyma się tradycji manichejskich, przedstawiając świat jako nieustanną walkę dobra i zła, jako nie kończące się i grzyska, w których nie ma podziału na gladiatorów i wiwatujące tłumy, nie ma nawet podziału na zwycięzców i pokonanych, są tylko uczestnicy przepotężnych zmagań. Uczestnicy zagubieni, bo tak po prawdzie sami nie bardzo wiedzą, co dobre, a co złe. I nie dowiemy się tego również z książek Władysława Terleckiego, w każdym razie nie dowiemy się tego w sposób jednoznaczny, nie budzący żadnych wątpliwości.

Śledztwo, w jakim uczestniczą bohaterowie „Trzech etiud kryminalnych" jest swoistą pokutą, ponieważ nie kończy się ustaleniem winy, czy choćby wynalezieniem winnych, jakkolwiek chętnych do przyznania się nie brakuje. W głównym nurcie prozy Władysława Terleckiego mamy do czynienia przede wszystkim z relatywizmem historii, w tym tomie akcent przeniesiony został na człowieka, s k a z a n e g o na względność ocen, broniącego się przed wyrokami losu.

* * *

Powieść **Ryszarda Miernika „Trzy końce"** uzyskała drugą nagrodę na kieleckim konkursie literackim pod nazwą „Robotnicy" (pierwszej, o ile pamiętam, nie przyznano). Jako kontynuacja **„Dożynek w mieście"** i **„Bursztynu"**, zamyka ona pewien cykl, w którym Miernik dał wizję naszej współczesności, jej przeobrażeń i konfliktów, głównie poprzez pryzmat nadziei i rozczarowań własnego pokolenia. Co nie znaczy wcale, iż pozostaje Miernik piewcą pokolenia ZMP-owskiego. Po prostu jest w nie bardzo wrośnięty. Swoich rówieśników widzi jako jeden z elementów, uczestniczących w budowaniu „tak zwanego lepszego jutra", jako jeden z „trzech końców".

Powieść ta — jak przyznaje zresztą autor — sytuuje się na pograniczu literatury i reportażu. Ktoś, kto zna choć trochę środowisko artystyczne Kielc odnajdzie w niej wiele znajomych sylwetek. Niektórych twórców wymienia Miernik z nazwiska, pisze o dorobku i zasługach. Lecz nie współczesność kulturalna Kielc interesuje go najbardziej. Chodzi mu o sprawy zdecydowanie bardziej złożone: na przykładzie założonej w końcu ubiegłego stulecia fabryki „Ludwików", zwanej od 1937 roku „SHI", a po wojnie Kieleckimi Zakładami Wyrobów Metalowych, pokazuje rozwój przemysłu na Kielecczyźnie, przeistoczenie chłopów w robotników, a potem najrozmaitsze robotnicze problemy. Przy czym to ostatnie sformułowanie nie pozostaje w książce Miernika zwyczajowym stereotypem: są to sprawy żywe, pulsujące konfliktami, pośród których konflikt robotnik — władza jest tylko jednym z wielu.

Sukces Miernika w dużej mierze polega na prostocie pomysłu. Oto w sposób trochę niefrasobliwy dziennikarz zbiera materiał do zamierzonego reportażu. Poczynania te łączy z prywatną wizytą u przyjaciół. Dopiero po pewnym czasie to wszystko, z czym się styka, układa się — prawie samoczynnie — w informacje o losach trzech pokoleń, pochodzących notabene z różnych terenów (Kielecczyzny, Zagłębia Dąbrowskiego, zza Buga). Z dziejów tych pokoleń układa się ciekawa mozaika, bo chyba jednak nie panorama, kilku dziesiątków polskich lat. Mozaika tym ciekawsza, iż autor nie gardzi sensacyjnym chwytem czy pikantnym szczegółem, nie oszczędza swych bohaterów, co w największym skrócie uzmysłowić może następująca wypowiedź politycznego działacza: — „Ja jestem od polityki, a nie od etyk".

Kiedyś krytyka literacka zaliczała Ryszarda Miernika do przedstawicieli tak zwanego „małego realizmu". Myślę że formuła ta — o ile była prawdziwa — uległa przedawnieniu. Bo wymowa powieści Miernika polega nie tylko na prawdzie szczegółów, ale i na prawdzie filozoficznej, drobiazgowo i wiernie przedstawia realia, ale zasadza się przede wszystkim na analizie postaw, i to niekoniecznie tych typowych, powiązanych w taki czy inny sposób z polityką, chodzi o postawy zwyczajnie ludzkie, zdeterminowane pracą, rodziną, miłością... Te to sprawy decydują o konfliktach ukazanych w „Trzech końcach".

W celu uwierzytelnienia powieści zdecydował się Miernik na pewien zabieg formalny — zastosował coś w rodzaju faktomontażu, czy też, inaczej mówiąc, rozpisał swój utwór na głosy włączając doń różne wypowiedzi i dokumenty. Zabieg chyba udany, pod względem przejrzystości — na pewno. Skoro o przejrzystosci mowa: na uwagę zasługuje czysty, prosty precyzyjny język. Szkoda tylko że zdarzają się „kwiatki" nie zawinione przez autora (na przykład: dlaczego raz spotykamy pisownię „Eshaelka", a raz „Eschaelka"?).

Nie byłby Ryszard Miernik nieodłącznym synem swej ziemi, gdyby „połączenie rzeczywistości z ludzkim marzeniem o szczęściu" nie kojarzyło mu się z ideą szklanych domów. Są to skojarzenia, rzecz prosta, żartobliwe najczęściej, choć w społecznikowskim spojrzeniu na rzeczywistość można by się dopatrywać w jakimś stopniu patronatu Stefana Żeromskiego. Również wówczas, gdy kreśli sylwetki zaprzeczające oficjalnym poglądom o dzisiejszym Polaku. Z drugiej strony nie zgadza się również z takim poglądem: „każdy człowiek ma z początku dobre intencje, a potem one w dzisiejszym zagęszczonym świecie, pełnym kontrastów i konfliktów, rozłaża się gdzieś, ginie i człowiek powoli rezygnuje z siebie, spuszcza z tonu, staje się groszorobem zwykłym zjadaczem chleba, kimś, kto przestaje rozumieć sens swojego istnienia". Pisarz stara się przybliżyć ten sens — w życiu rodzinnym, w więzi pokoleniowej, w miejscu pracy. Chce być optymistą, choć nie jest ani proste, ani łatwe.

Powieść „Trzy końce" dopełnia w twórczości Ryszarda Miernika obraz Polski, tej wojewódzkiej i gminnej, obraz wnikliwy, kreślony z humorem, ale i z domieszką soli, obraz serdeczny.

W. Terlecki, **Trzy etiudy kryminalne**, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, s. 152, nakład 30 000+315 egz., cena zł 20.—

R. Miernik, **Trzy końce**, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1981, s. 195, nakład 14 650+350 egz., cena zł 25.—

JAK DALEKO DO WZORCA

Foto: R. Łucyszyn

Rozmawiamy z dr BARBARĄ WARZYŃSKĄ z Zakładu Psychologii Uniwersytetu Łódzkiego.

— W każdej epoce społeczeństwo tworzy pewien obowiązujący wzór osobowy. W jakim stopniu wzór ten kształtuje się pod wpływem wychowania?

— Proponuję zacząć od ustalenia pojęć: co właściwie rozumiemy pod pojęciem osobowości i wychowania. Z naukowego punktu widzenia pojęcie osobowości jest pojęciem zmiennym. Dziś, przez osobowość rozumiemy zespół względnie stałych właścicieli psychicznych, cech biologicznych oraz wiedzę i poziom intelektualny człowieka. W jaki sposób możemy wpływać na osobowość? Przede wszystkim w sposób świadomy, a więc przez wychowanie. Wychowanie zaś to nic innego, jak zespół celowych działań zmierzających do ukształtowania psychiki człowieka zgodnie z pewnymi obowiązującymi wzorcami. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że w obecnych czasach obowiązuje wzorzec człowieka myślącego, aktywnego i samodzielnego. Kształtując osobowość człowieka, trzeba dostarczyć mu przede wszystkim wiedzy, choćby po to, żeby prawidłowo wybierał życiowe cele.

— Źródłem tej wiedzy dla współczesnego młodega Polaka jest zarówno szkoła, jak i dom, a także koledzy, telewizja, kino i książki. Na pierwszym miejscu wymieniam szkołę, gdyż właśnie szkoła powinna służyć rozwojowi osobowości ucznia. Niestety, szkoła jako placówka wychowawcza i oświatowa, sama przeżywa głęboki kryzys.

— W szkole uczeń nabywa przede wszystkim wiedzę. Współczesna szkoła popełnia jednak wiele błędów. Głównie bowiem odtwarza wiadomości, i to książkowe, bez krytycznego spojrzenia na całość problemu. Jest to niezwykle groźne zjawisko. Młodzież jest bowiem ciekawa. Tę ciekawość szkoła może równie łatwo rozwijać jak i zniszczyć. Konieczna jest więc selekcja wiadomości, jak i odwoływanie się do wiedzy i doświadczeń młodzieży, zdobytych przy różnych okazjach, nie tylko w szkole.

— Jeszcze do niedawna młodzież żyła w ogromnej rozbieżności między prawdami oficjalnie przekazanymi przez szkołę a prywatnymi, wyniesionymi z domu. Obserwowała brak zgodności między tym, co się głosi, a tym co się robi. Jaki był wpływ takich rozbieżnych oddziaływań na osobowość uczniów?

— Fatalny. Nie pozwalający osobowości ukształtować się harmonijnie. Nie przyczyniał się też do ukształtowania zwartych postaw moralnych. Wiele takich przykładów dostarcza nam codzienne życie. Weźmy choćby stosunek do własności prywatnej. Na przykład zabranie popielniczki z prywatnego mieszkania uważa się za kradzież. Przychodzimy natomiast do porządku dziennego nad faktem wyniesienia takiego przedmiotu z biura. Wszyscy znamy społeczne skutki takich postaw. Nie zapominajmy, że osobowość kształcimy także poprzez wzorce, które młodzież naśladuje. Nie zawsze są to wzorce pozytywne. Czasami bardzo pociągające bywają wzorce negatywnie. Wzorzec niekoniecznie musi być pomnikowy. Chodzi o to, aby był to wzór pozytywny i jednocześnie aprobowany przez młodzież. Powinien to być żywy człowiek, który jest w zasięgu ręki. Człowiek, który jest w zgodzie z tym, co mówi i z tym, co robi, który osiąga życiowy sukces. Wśród młodzieży istnieje ogromny kult kompetencji, umiejętności na wysokim poziomie i autentyczności.

— Autentyczność — kolejne słowo-wytrych, jak mówił Wańkowicz. O autentyczności mówimy przy wszystkich możliwych okazjach. Co to właściwie znaczy?

— Autentyczność, czyli naturalność. Autentyczny sposób bycia to swobodny sposób bycia, co nie znaczy nonszalancki. Nauczyciele tak często ponoszą klęski, bo zatracają właśnie swą autentyczność. Uczeń w szkole widzi nauczyciela „odczłowieczonego", autorytatywnego, nieomylnego. A wiadomo, że nie zawsze jest taki.

— Uważam, że nawet w małych sprawach należy brać pod uwagę odmienne zdanie ucznia, dyskutować z jego opinią i ewentualnie wpływać na jej zmianę. Opinie i postawy młodzieży kształtują się szczególnie w okresie dojrzewania. Wtedy też należałoby wykorzystać ich zainteresowania i emocjonalny stosunek do życia w sposób konstruktywny. Jeśli nie znamy opinii i poglądów młodzieży, trafiamy w ciemno. Możemy je kształtować tylko wtedy, jeśli wiemy, do jakiej wiedzy i doświadczeń młodzieży się odwołujemy.

— Często słyszymy od uczniów, że boją się nauczyciela i nie lubią szkoły. Jeśli przez kilkanaście lat uczeń przebywa codziennie przez wiele godzin w atmosferze lęku, to musi się to odbić na jego psychice i postawach życiowych.

— I odbija. Wielu uczniów kończy szkołę z zaburzeniami emocjonalnymi. Prawdą jest, że boją się szkoły. Składa się na to wiele przyczyn. Między innymi presja nauczycieli, publiczne krytykowanie uczniów, a czasami wręcz ich ośmieszanie. Ośmieszony uczeń z reguły zniechęca się do przedmiotu. Na przedmiot nauki patrzy bowiem zwykle przez pryzmat nauczającego.

— Czy ten lęk ze szkoły przenoszony jest także na inne dziedziny życia, zwłaszcza, kiedy młodzież wchodzi ws połeczeństwo dorosłych?

— Może się tak zdarzyć wtedy, jeśli uczeń wyniesie ze szkoły jako dominujące przekonanie, przekonanie o swojej małej wartości. Bywa, że młody człowiek, traktowany w szkole jako gorszy, przyjmuje podobną postawę w życiu prywatnym. Na przykład w założonej przez siebie rodzinie przyjmuje rolę uległej żony, nie umiejącej wyrazić swojego zdania i dowieść swoich racji. Analogicznie w pracy. A przecież chodzi nam o wychowanie człowieka umiejącego samodzielnie myśleć i działać.

— Na osobowość składa się także, jak już Pani podkreśliła, umiejętność samodzielnego działania. Tymczasem młodzieży zarzuca się na ogół brak samodzielności. Nie jest to jej wrodzona cecha, lecz wynik określonego sposobu wychowania. Co przede wszystkim różni nasz sposób wychowania, w tym względzie od innych wzorów?

— Młodzież amerykańska i kanadyjska znacznie wcześniej decyduje sama o sobie. Wcześniej, niż jej polscy rówieśnicy, znajduje się w różnych sytuacjach życiowych, w których musi sama podjąć decyzję. Posiada mniejszy zasób wiadomości książkowych, niż Polacy, większe natomiast umiejętności praktyczne. Umie na przykład pisać na maszynie, prowadzić samochód. Jest zasada, że dzieci nawet z bardzo zamożnych domów pracują podczas wakacji. Roznoszą na przykład karty świąteczne, wykonują drobne naprawy w domach. Zdobywają w ten sposób umiejętność nawiązania kontaktu z ludźmi i z innej pozycji stykają się z dorosłymi. Dzięki temu nie mają zahamowań i w towarzystwie i dorosłych, i rówieśników zachowują się tak samo. Mają też inny stosunek do pieniądza, niż polscy uczniowie. Nasi rodzice popełniają kardynalne błędy wychowawcze. Oddają dzieciom wszystko, nic w zamian nie żądając. Wyrabia to bardzo niekorzystne postawy. Nawiązując do aktualnej sytuacji w Polsce, widzimy, jak postawy tego rodzaju nasilają się. Na przykład w stosunku do państwa zgłaszamy głównie żądania, zamiast naprawę Rzeczypospolitej zaczynać od siebie. Kończąc naszą rozmowę, chciałabym stwierdzić, że należałoby dokonać korekt w systemie wychowawczym w taki sposób, aby przygotowywał on ludzi bardziej zbliżonych do obowiązującego w obecnej dobie wzorca osobowości.

Rozmawiała: MAŁGORZATA GOLICKA

CIENIUTKI

(3)

KAZIMIERZ KOLINKA

— *Zgwałciłeś ją, ty mendo* — „Glapa" rozpoczął nową serię kopniaków. — *Nie! Nie! Nie dała się i uciekła* — wymamrotał „Mąt".

Zabraliśmy ubranie „Bieriozki" i wyszliśmy na ulicę. Staliśmy jak bezradne barany, nie wiedzieliśmy, co daje robić. Uskoczyliśmy, kiedy podjechał radiowóz. *Gliny* prowadzą okrytą kocem „Bieriozkę" — idą na *melinę*. Stoimy jak sparaliżowani. Ale „Patyk" bierze ubranie „Bieriozki" i spokojnie podchodzi do radiowozu. Podał ubranie do wnętrza i coś tam zaczął wyjaśniać, kłania się grzecznie i wraca do nas.

— *Teraz pojedynczo zwiewamy* — do zobaczenia jutro w „Egzolu".

„Mąta" posadzili za usiłowanie gwałtu. Biedna „Bieriozka" długo nie mogła się otrząsnąć z tego przeżycia. Dopiero po paru tygodniach dowiedzieliśmy się, że biegła nago ulicą i zwinął ją patrol *gliniarski*.

Jedynym pożytkiem, jaki wynieśliśmy ze spotkania u „Mąta", była umiejętność przyrządzania *naparu*. Znowu zaczęły się dla nas dobre czasy. Krople kosztowały grosze. Można je było otrzymać w każdej aptece w dowolnej ilości i bez recept. Faszerowaliśmy się też bez opamiętania. „Egzol" i „Turecka" były stale pełne naszych ludzi. *Braliśmy* bezpośrednio przy stolikach lub w toalecie i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie kelnerki. Przy jednej herbatce przesiadywaliśmy całe popołudnie, a po *braniu* wyglądaliśmy na solidnie zachlanych.

Któregoś dnia personel obu kawiarń przestał nas obsługiwać. To było okrutne, każdy przypadkowy obcy obsługiwany był z wyjątkową czołobitnością. Przetrwaliśmy tak cały dzień nie opuszczając kawiarni. Pod wieczór nie wytrzymaliśmy i zaczęliśmy *lecieć napar*. Jak dostaliśmy *kopa*, to wyglądaliśmy na bandę pijusów. Kelnerki wezwały wtedy gliny i powiedziały, że piliśmy alkohol nie zakupiony w lokalu, że robimy tak od dawna, że czas z tym skończyć, bo awanturujemy się po pijanemu i zrobiliśmy spelunę z *porządnej* kawiarni.

Zabrali nas do *cegielni* i cała sprawa się wysypała. Operacyjni nie dali się wziąć na lipę, mimo że część z nas udawała pijanych. Zrobili szczegółową rewizję. Posypały się igły, strzykawki i buteleczki z wywarem. To, co zobaczyli, stanowiło dowód nałogu. Każdy z nas miał setki nakłuć na rękach. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozpalonym prętem przejechał od nadgarstka do łokcia pozostawiając długą ropiejącą ranę. Myślałem, że tylko moje ręce są tak zainfekowane, teraz przekonałem się, że wszyscy jesteśmy na pograniczu gangreny.

To była straszna noc. Biorą nas pojedynczo. Fotografują, odciski palców, personalia i — grupkami do Zakładu Medycyny Pracy na odtrucwanie. Powiadomiono nasze rodziny. Po wszystkich *nielatów* musieli zgłaszać się rodzice.

Po kuracji wezwano nas do Komendy i musieliśmy spowiadać się. Rozmawiał z nami *glina*, który znał się na narkotykach, jak najprawdziwszy narkoman. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że był specjalnie przeszkolony. Nazywaliśmy go „Okularnikiem". Wiedział o nas bardzo dużo — widać nie wszyscy potrafili dotrzymać milczenia.

Kiedy wszedłem do jego pokoju, powiedział: *Cześć, „Cieniutki", siadaj i opowiadaj, co dobrego na tym łez padole*. Zbaraniałem. Znał mój pseudonim. Okazało się, że zna również moje sprawy ze studiów. Tłumaczył mi jak lekarz o szkodliwości narkotyków, jak ojciec namawiał na zerwanie z nałogiem i obiecywał jak glina, że załatwi mi powrót na uczelnię, pod warunkiem zerwania kontaktów ze środowiskiem i poddania się dobrowolnemu leczeniu odwykowemu. Muszę przyznać — przekonał mnie i obiecałem skorzystać z jego propozycji. Marzyłem, żeby jak najszybciej opuścić cegielnię i ostatni raz *polecieć* Męczył mnie głód. Bolał mnie brzuch i głowa, chciało mi się pić, zaczęło mnie trząść. Dostałem takiego *dygulca*, że musiałem trzymać się krzesła.

— *Ciężko ci będzie, „Cieniutki", wyglądasz jak galaretka. Wiem, jak cię teraz męczy. Marzysz, żeby stąd prysnąć i polecieć. Nie, bracie, nie zostaniesz sam. Masz, połknij to i dużo popij.*

Podał mi dwie małe tabletki i dzbanek z wodą. Połknąłem i wydoiłem całą wodę. Po kwadransie mi przeszło. Wtedy podpisałem zobowiązanie o odwykówie i poszedłem do domu. Rodzice przyjęli mnie jak syna marnotrawnego. Nakarmili, napoili i dali czystą pościel. Po raz pierwszy od miesięcy poczułem się normalnie. Jak wspaniale było w domu!

Nazajutrz zgłosiłem się do szpitala. Przyjęto mnie prawie z honorami, byłem jednym z pierwszych narkomanów odwykowców. Przez kilka dni walczyłem z głodem. Głód i ból uśmierzały tabletki. Marzeń o *majce* nie mogłem stłumić. Tak było kilka tygodni. Wychodząc ze szpitala byłem jednak przekonany, że już nigdy nie wezmę żadnego narkotyku.

Zgłosiłem się do „Okularnika", powiedział mi, że cieszy się z mojego uzdrowienia. Załatwił mi warunkowy powrót na studia.

Chodziłem teraz na inny semestr i nie znałem nikogo. Postanowiłem nie zawierać żadnych przyjaźni. Unikałem też *naszych* ludzi. Nie widywałem się z nikim. Rodzice byli szczęśliwi, ja natomiast daleki od radości. Uczenie się sprawiało mi ogromną trudność. Męczyło mnie też dobrowolnie więzienie, jakim stał się dla mnie dom. Któregoś dnia nie wytrzymałem i przeprowadziłem rozmowę z rodzicami. Rzucam studia i biorę się za robotę. Chcę wyjechać z miasta. Zaopatrzony w pieniądze i rodzicielskie błogosławieństwo wyjechałem na Śląsk.

Zostałem *śleprem* czyli ładowaczem, pracowałem w kopalni na przodku i rzucałem urobek na przenośnik. Cholera, co to za harówka. Dziennie kilka ton węgla. Po sześciu godzinach takiej roboty nie mam siły dojść do podszybia. Wyjeżdżam z piekła na słońce. Idę do hotelu i walę się na łóżko, śpię do wieczora. Po kolacji — pijemy wódkę i — spać, a rano na szóstą do roboty. Koń by tego nie wytrzymał, a cóż ja. Po miesiącu wziąłem wypłatę i wróciłem do domu.

Rodzice przyjęli mnie cierpko, mieli mi za złe porzucenie roboty i brak wytrwałości. Nie potrafili zrozumieć górniczego znoju. Nie wierzyli, że ludzie tak ciężko pracują.

Dostałem pracę biurową. W porównaniu z poprzednią jest lżejsza od snu. Wypełniam kartoteki i wydaję zaświadczenia. Petentów kilku dziennie, pozostały czas to ploty, herbaty, krzyżówki. Nudziło mnie to i mierziło, zaś wypłata rozśmieszyła zupełnie. Przysłowie — jaka praca, taka płaca — potwierdziło się w całości.

Karta powołania przerwała po dwóch miesiącach biurową karierę. Zwolniłem się z pracy na dwa tygodnie przed poborem, postanowiłem użyć ostatnich dni wolności. Szedłem do „Egzola" z przekonaniem, że nie interesuje mnie *branie*. Chciałem godnie pożegnać ferajnę i poszaleć trochę zanim pochłonie mnie *wojo*. W „Egzolu", jak zwykle, siedzi moja *rodzina*. Byli wszyscy, siedzieli przy zestawionych razem stolikach, jeszcze nie *zamajaczeni*. Powitali mnie, jakbym wrócił z zaświatów. Ich autentyczna radość tak mną wstrząsnęła, że zapomniałem o przyrzeczeniu i *zamajczyłem* się na powitanie i to autentyczną, czystą *majką*. Dopiero na drugi dzień dowiedziałem się, że epoka kropli już dawno się skończyła. Teraz krople na recepty i to ostro kontrolowane przez personel farmacji. Ponadto wywar jest dla głupich. W naszej *rodzinie* mózgiem jest „Łagodna", zaś wykonawcami „Glapa", „Patyk" i „Romani". Rzecz jest prosta jak świński ogon. „Łagodna" idzie do lekarza i symuluje ostry atak miedniczek nerkowych — doktor, wzruszony urodą i cierpieniem, przepisuje leki i daje zwolnienie ze szkoły. Zwolnienie przydaje się, żeby usprawiedliwić nieobecność. Receptę „Łagodna" wywabia, a następnie wypisuje na niej *Morphini Hydrohlorici in ampuli No XX*, a jako rozpoznanie choroby, niezbędne przy tego typu lekach — wypisuje *Carcinoma Rectis* lub inne *carcinomy*, których zestaw, złożony z kilkunastu odmian raka, posiada przy sobie. W ten prosty sposób mamy receptę na tani i czysty narkotyk. Mamy tego dowolne ilości, bo każdy z nas nagle zaczął dbać o swoje zdrowie i recept do zrobienia mamy kilkadziesiąt. Wystarczy tylko wyciągnąć rękę i brać.

„Łagodna" jest śliczna. Jej geniusz fałszowania recept doceniają wszyscy. „Glapa", „Patyk" i „Romani", bezpośrednio narażający się przy realizacji recept, nie są tak cenieni jak ona. „Łagodna' zmąciła świat — mnie też.

Znowu codziennie w „Egzolu". Mam po temu dwa powody: „Łagodna" i *majka*. *Biorę* jak za starych, dobrych czasów. Kelnerki przestały się nas czepiać, bo mamy teraz pieniądze na kosztowniejsze zamówienia. W obawie przed nalotem *glin* i ewentualną konfiskatą majątku, gumą do żucia podklejamy pod blatami cały *klops*.

Któregoś dnia wpada do „Egzola" „Okularnik" i jeszcze kilka *glin*. Obstawiają wyloty, o pryskaniu nie ma mowy. Biorą nas pojedynczo na zapleczu, a tu chała. Każdy z nas jest czyściusieński. Żadnych *trefnisiów* nie mamy przy sobie. „Okularnik" z niedowierzaniem kręci głową, ale przyczepić się nie może. Cwany *glina*, domyślał się, że *towar* jest gdzieś blisko. Ogląda nasze ramiona i widzi przecież świeże ślady po nakłuciach. Na odchodnym mówi: — *„Cieniutki", jesteś szmata, a ja w ciebie wierzyłem...*

Nawet się nie spostrzegłem, kiedy nadszedł dzień poboru. Cała *rodzina* odprowadziła mnie na dworzec. Zajęliśmy przedział i zrobiliśmy sobie pożegnalne, zbiorowe *branie*. Nazajutrz stałem się żołnierzem.

W trzecim dniu służby zaprowadzono rekrutów na komisję lekarską. Kiedy nago stanąłem przed audytorium, blizny po nakłuciach ostro odcinały się od bladej skóry. Nie ważono mnie i nie mierzono, wziął mnie w obroty kardiolog. Po uważnym osłuchaniu stwierdził krótko: *wrak*. Skierował mnie jednak na EKG. Gdy przyniosłem wykres, jeszcze raz powiedział: *wrak. I dodał: — Masz, bracie, serce starego człowieka, serce — szmelc. Nie nadajesz się do wojska. Kwalifikuję ci kategorię inwalidzką.*

Jeżeli myślał, że zasmucił mnie tą wiadomością, to był w błędzie. Cieszyłem się jak głupi, że po tygodniu *woja* idę do cywila. Wracałem tym bardziej szczęśliwy, że znowu będę z „Łagodną". Tydzień bez niej uzmysłowił mi, że ją kocham.

Nadszedł wreszcie ten szczęśliwy dzień, kiedy i ja mogłem się przed nią wykazać. Miałem symulować owrzodzenie żołądka, bo na to schorzenie wypisywano kilka recept. Do poradni poszedłem po południu, byłem może trzeci w kolejce, za mną nikogo. Lekarz przebadał dwie osoby i został wezwany do telefonu. Skorzystałem z okazji i *strzeliłem* bloczek nie wypełnionych, ostemplowanych recept. Schowałem je w poczekalni i, jakby nigdy nic, poddałem się badaniu. Biedny doktor przeraził się, że ma sklerozę, wyjął nowy, czysty bloczek i zapisał mi leki.

Pokazałem „Łagodnej" moją zdobycz. Uśmiechnęła się, ucałowała mnie w policzki. Wykorzystałem ten moment i na chwilę przytuliłem ją. Nie odsunęła się. Od tej pory zaczął się nasz romans.

Przez kilka tygodni byliśmy tak oczarowani sobą, że nie chodziliśmy do „Egzola". Do porządku przywołała nas rodzina. Zabrakło *majki*. „Łagodna" zrobiła kilka recept i zaklepała sobie udział. Nie zgodziła się na propozycję „Glapy", żebym brał udział w realizacji falsyfikatów. — *On załatwił recepty, ja je wypisałam, a wy je zrealizujecie i odpalicie nam dolę.*

„Glapa" zgodził się na taką koncepcję i na dobrych wnuczków, którzy wykupią leki dla chorej babci wyznaczył „Gambuzina" i „Smoka", ponieważ mieli facjaty grzecznych chłopczyków.

Falsyfikaty należało realizować na nocnym dyżurze, żeby zaspana *magisterka* nie była zbyt podejrzliwa. Trzeba było zagrać dobry teatr o chorobie babci lub dziadziusia, którzy tak bardzo cierpią, a tu w domu zabrakło znieczulenia. Wpadli przy czwartej próbie. Kiedy dowiedzieliśmy się szczegółów (stało się to na procesie) — rzecz okazała się tragikomiczna. Zadzwonili i — o dziwo, szybko podeszła do drzwi wcale nie zaspana *magisterka*. Podali przez okienko receptę i zagrali starą, lecz dobrze opracowaną rolę o chorej babuni. Właściwie to grał „Gamuzino", a „Smok" stał na lipku.

c.d.n.

odgłosy

REDAGUJE KOLEGIUM: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Jerzy Katarasiński (z-ca redaktora naczelnego), Grażyna Szypowska (sekretarz redakcji) Konrad Frejdlich oraz ZESPÓŁ: Ryszard Binkowski, Tadeusz Błażejewski, Małgorzata Golicka Jacek Indelak Eugeniusz Iwanicki (z-ca sekretarza redakcji), Ryszard Łucyszyn (fotoreporter), Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Marek Miller, Jerzy Rzymowski, Tomasz Soldenhoff.
KONSULTACJA GRAFICZNA: Janusz Szymański-Glanc. NADZÓR TECHNICZNY I KOREKTA: Krystyna Sardecka, Maria Grabska

S: książki, do których się wraca. Są autorzy, którym się wierzy, choćby ich poglądy były dalekie od naszych. Są autorzy formułujący słowa, które chciałoby się napisać samemu raz jeszcze.

Do moich ulubionych książek należą m. in. „Zielone oczy" Cata-Mackiewicza. Całe zdania z tej książki — traktującej przecież o polskich sprawach sprzed kilkudziesięciu lat — można dziś przepisywać niejako „na czysto".

Pisze Mackiewicz: **„Szanuję dowcip nade wszystko (...) Właśnie dowcip wydaje mi się dziedziną, w której najwięcej jest syntezy, spojrzenia z góry, kwintesencji tego, co się dzieje. Wierzę w ludzi dowcipnych..."**

Tak jest. Wierzę w ludzi dowcipnych, wierzę w dowcipną syntezę, która nie straci aktualności przez pół wieku.

Jerzy Paczkowski napisał w latach międzywojennych głośną fraszkę:

„Są dwa poważne powody
Dla których Polska mi zbrzydła
Za dużo święconej wody
Za mało zwykłego mydła".

Dziś by pewno za ten żart został ukamienowany, a w każdym razie otrzymałby miano „betona". No cóż, Paczkowski nie dożył. O tę Polskę, która mu „zbrzydła" walczył w szeregach Ruchu Oporu i zginął zamordowany przez hitlerowców.

POWRÓT DO STARYCH TEKSTÓW

W roku 1934 Konstanty Ildefons Gałczyński napisał fraszkę:

„Patrz Kościuszko na nas z nieba"
— raz Polak skandował.
I popatrzył się Kościuszko
i się zwymiotował".

Gałczyński miał szczęście. Wojnę spędził w obozie i przeżył. Ale po wojnie w latach pięćdziesiątych koledzy-poeci tak gromko dziś „rewindykowani" wykończyli Gałczyńskiego dość skutecznie. Ważyk na lewicy wołał, aby „ukręcić łeb" tej poezji, Miłosz na prawicy preparował mu paskudny portret w „Zniewolonym umyśle".

Ale przeżyła poezja, dowcip, gryząca aż do bólu ironia i kpina z polskich przywar. **„Jeśli gryzę — sercem gryzę"** — to już inny poeta — Juliusz Słowacki.

Wróćmy jednak do Cata-Mackiewicza i jego napisanej przed laty książki, aby wynotować kolejne zdania, które wyglądają jak paradoks, ale paradoksem nie są.

Otóż pisze Mackiewicz o swoich wrażeniach z lektury listów Stanisława Poniatowskiego (późniejszego króla Stanisława Augusta, a w czasie pisania tej korespondencji stolnika litewskiego i posła w Petersburgu) do von Brühla przebiegłego i bezwzględnego polityka saskiego. I stwierdza: **„listy stolnika litewskiego są olśniewające inteligencją; (...) listy Brühla to groch z kapustą myślowy i metodyczny. (...) Dwa światy: błyskawice inteligencji i zaduch beczki ze stechłą kapustą. I oto jestem dziś przekonany — pisze Mackiewicz — że gdyby nie inteligentny Stanisław August, gdyby nie jego mądrzy, szlachetni i wielkiego charakteru doradcy — ale opasły i durny August III i kwękający i tumanowaty Brühl rządzili nami do końca XVIII stulecia, to ...nie byłoby rozbiorów Polski".**

Relata refero — przytaczam zdania z książki, które Mackiewicz kończy refleksją o tym, jak często szlachetne porywy polityczne przynoszą zło i nieszczęścia...

I jeszcze jeden — ostatni już cytat: **„Historyczna szkoła krakowska głosiła zasadę, że Polska upadła przez brak silnej władzy państwowej. Wyznawcą tej tezy (...) był niewątpliwie Józef Piłsudski. Wiedział on zresztą, że Polak jest wolnościowy i nieposkromiony. Sądzę, że dążył do tego, aby Polak mógł zawsze wygadać się, ile chce, w ten sposób sobie ulżyć i siebie uspokoić, natomiast, aby Polską rządziła władza jedna, a nie wiec partii rozmaitych".**

Powtarzam raz jeszcze — relata refero, a każdy niech sobie sam wzbogaci te cytaty sprzed lat własną, współczesną refleksją. A w ogóle warto wracać do starych książek, fraszek i wierszy.

JERZY WILMAŃSKI

FRYZURY

Rys. ANDRZEJ GRUN

PROPOZYCJE

Zatroskani jesteśmy tym wszystkim, co się u nas dzieje. Zatroskani i zmęczeni. Coraz częściej pada pytanie: kiedy to się wreszcie skończy? A końca nie widać. I jaki ma to być koniec? Nikt tego nie wie, ale wszyscy chcieliby, aby wrócił spokój, aby wróciła stabilizacja nawet taka maleńska, aby skończyły się waśnie i walki i znów ruszyła produkcja i aby było lżej i do garnka co włożyć. I wszyscy jakoś czekają, że to się samo zrobi, że cud będzie kolejny, albo, że ktoś za nas to zrobi. I mylą się. Zrobić to musimy sami Sami wyciągnąć wnioski z naszej przeszłości i teraźniejszości i zrobić z nich podstawę dla przyszłości.

Na przełomie XVI i XVII wieku (1595—1640) żył w Polsce Maciej Kazimierz Sarbiewski, a jego działalność poetycka, filozoficzna i teologiczna przypada na pierwszą połowę wieku XVII. Był nadwornym kaznodzieją Władysława IV wykładowcą retoryki, filozofii i teologii w Płocku i Wilnie. On to napisał słów kilkoro o charakterze Polaków. Słowa te i dziś brzmią aktualnie.

„Gdyby tak zabrali się naprawdę do robienia tego, o czym tylko przy stole przy okazji rozmawiają, odebraliby Włochom pierwszeństwo w zachowaniu porządku, Niemcom w gospodarowaniu, Anglikom i Belgom w bogactwie, Francuzom w ustroju państwa, a Hiszpanom panowanie nad światem i szczęście. Ale jak lubią długo o wszystkim mówić, tak też powoli zabierają się do czynu."

Dziś co prawda inna jest już skala światowych wartości, ale prawda o naszych wadach pozostała nie zmieniona. Czyż nie jest bowiem prawdą, że przy stole przy okazji zbawiamy nasz kraj już od lat wielu, a on coraz bardziej grzęźnie w kryzysie. Czyż nie jest prawdą, że tak wiele sobie wzajem obiecywaliśmy, ale wszystko pozostało tylko w sferze naszych dobrych chęci. Czyż nie jest prawdą, że wszyscy deklarujemy przemożną chęć do pracy, ale od pracy tej z różnych powodów stronimy.

TRAKTACIK NIEWIELKI

Nie jest moim zamiarem wyolbrzymianie wpływu wad naszych na bieg historii, ale warto czasem spojrzeć krytycznie na siebie, warto zobaczyć się w lustrze historii. Coś z tej naszej przeszłości dla nas wynika. Oto inny pisarz XVII wieku Joachim Pastorius (1611—1681), profesor historii w Gdańsku i Elblągu, taką myśl nam, potomnym pozostawił:

„Lecz ludzie łatwo wprawdzie ufają sobie i chcą także, by im ufano, gdy jednak chodzi o innych, często powtarzają: skąd wiadomo, że rzetelność ich jest zupełna, iż z całym spokojem i pewnością możemy przyjmować ich świadectwo? Tak przecież często nas się zwodzi, tak często zaćmę rzuca się nam na oczy, tak często rzeczy niepewne podaje się jako najbardziej prawdziwe, a rzeczy nie sprawdzone jako doskonale poznane."

A więc i nieufność nie jest niczym nowym i naszym czasom właściwa. Nieufność jest nawet dobra, jeśli służy poznaniu prawdy. Jest szkodliwa, gdy uniemożliwia wszelkie porozumienie. Rodzi zadufanie, nietolerancje, prowadzi przeto do uznawania tylko własnych racji za niezbite, jedyne, prawdziwe, choć mogą im przeczyć fakty i oceny. Staje się przeszkodą w uzgadnianiu stanowisk, w rozwiązywaniu konfliktów. Jest źródłem waśni, sporów jałowych, szkodliwych podziałów.

Gdy patrzy się w przeszłość na owe stronnictwa, obozy, grupy i partie, które podejmowały daremny trud ratowania Rzeczypospolitej, to widać jak wielkie spustoszenia czyniła owa nieufność przemożna, jak wikłała ludzi w spory niekończące się, odbierając im moc działania, przekształcając zamiary w puste gadania przy stole, przy okazji. Każdy patrzył tylko w swoje racje, za nic mając racje innych. Czyż owo zadufanie we własną i jedyną mądrość nie czyniło bezwolnymi rządy II Rzeczypospolitej? I czyż nie ona kładzie się u podwalin różnych walk frakcyjnych?

Żeby dojść do jakiejś konkluzji trzeba przedyskutować wszystkie racje, punkty widzenia, stanowiska. To prawda. Ale co innego dyskusja, w której się szuka tego, co wspólne, a co innego walka frakcyjna, która na plan pierwszy wysuwa to wszystko, co dzieli, co uniemożliwia jakiekolwiek porozumienie. Każda walka frakcyjna czyni niemocnym partię, stronnictwo, grupę, obóz. A dzieje się tak dlatego, że pochłania siły i soki żywotne dla wzajemnego zwalczania się grup, zamiast umacniać całość do działania na zewnątrz, do działania pozytywnego. Stąd jej wielka szkodliwość.

„Nieliczni tylko własną roztropnością odróżniają rzeczy szlachetne od złych i pożyteczne od szkodliwych; większość ludzi uczy się na doświadczeniach innych." Są to słowa Tacyta wypowiedziane wiele wieków temu, a przecież i dziś aktualne.

Wiele wskazuje jednak na to, że my i dziś niczego nie chcemy się nauczyć.

MARCIN RODAK

TELEWIZJA

Surrealizm, w czasie gdy André Breton rozgłaszał swoje manifesty na całą Europę, u nas jakoś się nie przyjął. Gdyby nie ostatnie miesiące trudno byłoby nawet objaśnić bez sięgania do specjalistycznych słowników co ten termin oznacza. Teraz nie ma takiej potrzeby, wystarczy powiedzieć: „nadrzeczywistość. To jest to, co każdy — również ten nieobeznany z awangardami — dostrzega wokół siebie". Idąc po masło słyszę, jak z nieodległej kolejki samochodów ustawionych po benzynę, rozbrzmiewają słowa najnowszego przeboju „Studia Gama" „Tankuj do pełna!". Zaglądam do sklepu, wciąż myśląc o maśle, i wycofuję się natychmiast: długi ogonek klientek z roziskrzonym wzrokiem patrzy na ręce ekspedientki wydzielającej po dwa twarożki typu fromage Idę więc do następnego sklepu czytając po drodze pożyczoną (!) w kiosku gazetę (mam zwrócić za pół godziny), która zachwala nowość polskiej kinematografii „Wielka majówka": „w filmie zobaczysz Corę i usłyszysz jej wielki hit pod tytułem „Oddech szczura". Ale muszę złożyć gazetę, bo to już ten drugi sklep, oprócz sprzedawczyń prawie nikogo, nie licząc kobiety z torbami, która obchodzi wkoło duży pojemnik zapełniony po brzegi twarożkami typu fromage. „Po ile pani sprzedaje? — pyta ekspedientki. „Ile pani chce!" — odpowiada ta opryskliwie. Kobietę aż przygięło, obeszła jeszcze ze dwa razy pojemnik i czym prędzej, nic nie kupiwszy, opuściła sklep. Jasne, na prowokację należy odpowiadać stoickim spokojem

I telewizja uczestniczy w owych kreacjach nadrzeczywistości — przykłady płyną z małego ekranu każdego dnia. Oto jeden z nich, tyleż symptomatyczny, co w rezultacie szkodliwie jątrzący opinię społeczną. Dzienniki tv doniosły o zbezczeszczeniu grobu pułkownika Skopenki w Sandomierzu, przedstawiając całe wydarzenie i jego skutki, w kategoriach prowokacji o wymiarze międzynarodowym. Można rozumieć jedno: nie pierwszy to przypadek wandalizmu z kontekstami antyradzieckimi. Zatem rzeczywiście godny napiętnowania i publicznego oburzenia. Sądzę jednak (ale to dopiero po reportażu Barbary W. Olszowskiej w „Polityce"), że w większości przypadków tego rodzaju więcej jest zwykłej głupoty i braku wyobraźni niż politycznego rozmysłu. Wielkie halo, jakie TvP zrobiła wokół sandomierskiego wybryku trójki uczniów szkoły podstawowej, było być może odbiciem działań i wersji rozpowszechnianych w Sandomierzu. Jednak po to telewizja dysponuje odpowiednim sprzętem, kadrą wysoko kwalifikowanych

SURREALIZM

dziennikarzy, aby każdą ważną informację agencyjną zweryfikować. A tym bardziej informację, która ma uogólnić — bo taka była jej intencja? — nasilenie się antysojuszniczych ekscesów. Telewizja więc, walcząc o wiarygodność u odbiorców, nie może sobie pozwalać na żadne nadrealne „écriture automatique" i wyciągać z PAP-owskiego kapelusza co podleci.

I ten tydzień, podobnie jak wiele poprzednich od dłuższego już czasu, rozgrzał polskie emocje do białoczerwoności. Środowy strajk (nazywany w oświadczeniach Komisji Krajowej „Solidarności" — o surrealistyczny paradoksie naszych czasów! — godzinną „przerwą w pracy"!) stanowił tychże emocji epicentrum — nota bene — tym razem mało euforyczne. W pewnej zaprzyjaźnionej instytucji przed poprzednimi strajkami niemal wszyscy biegali z flamastrami wokół strajkujących plakatów; w przeddzień środowej „przerwy w pracy" ledwo namówiono jedną osobę, iżby cośkolwiek na okoliczność strajku namalowała. Także łódzkie „Wiadomości" trzykrotnie poprawiały dane na temat statystyki strajkujących w „Dywilanie"; raz przystąpiło do pracy ponad 50%, raz tylko 15%, ostatecznie okazało się, iż w Fabryce Dywanów pracowało 46% zatrudnionych. Widać z tego, że „Wiadomości" nie przywiązują się do jednej prawdy co, gdyby one były oglądane w Warszawie, powinno stanowić pożyteczne doświadczenie dla redaktorów Dziennika.

Ale choć i ten tydzień obfitował w ważne wydarzenia (Tv znów cytowała kolejne wystąpienie pana Jurczyka — ten to ma głowę — jeśli w dalszym ciągu będzie z niej czerpał swoje retoryczne pomysły pójdzie w przysłowie, jak Piekarski, Zabłocki i wielu innych) telewidownię skupiły przed odbiornikami — teatr i film.

W poniedziałek dramat Adolfa Nowaczyńskiego (dyrektorzy teatrów siwieją w poszukiwaniu repertuaru, a tu okazuje się, że wystarczy sięgnąć do całkiem nieodległej przeszłości, aby znaleźć inscenizacyjne arcydzieła) „Wielki Fryderyk" uświetnił z całą pewnością dosyć niemrawą scenę teatru tv. Zaadaptowany dla potrzeb telewizji spektakl warszawskiego „Ateneum" skrzył się wprost sławą i chwałą polskiego teatru. Jego koneserzy, a zwłaszcza ci, którzy oglądali wystawienie „Fryderyka" przez Dejmka w łódzkim teatrze „Nowym" mogą zarzucić wersji Józefa Grudy nadmierną kabaretowość koncepcji aktorskich (von Zieten — Machowski, Fryderyk — Świderski), które stępiły dramatyczność konterfektu pruskiego władcy i jego dworu. Trudno mi powiedzieć, która z wersji, Dejmka czy Grudy, bliższa jest zamysłom Nowaczyńskiego wszak każda z nich funkcjonowała w odbiorze w innym kontekście. Bez głębszego zastanowienia natomiast mogę powiedzieć, że dawno nie oglądałem tak znakomitego koncertu gry aktorskiej, że od dawna nie byłem tak zafascynowany maestrią dramaturgiczną autora sztuki.

W środę film Krzysztofa Zanussiego „Barwy ochronne", żadna przecież kinematograficzna nowość, był przez wielu widzów oglądany z całkiem nowej, bo roku 1981, perspektywy. Jesteśmy obecnie świadkami wielu zmian i odnów. I tak myślę, że psychosocjologiczna diagnoza jaką wystawił naszej świadomości Zanussi, jest wciąż aktualna. Ważna jest reforma gospodarki, samorząd i co tam jeszcze. Bodaj ważniejsze jest to co w nas. Obserwując tę naszą rzeczywistość musimy dojść do wniosku, że w tym zakresie, o którym mówi także film Zanussiego, jakoś ta odnowa jest słabo widoczna

GRZEGORZ GAZDA

1/6 mini magazynek

HASŁO NUMERU: Sędzisz, że idziesz do przodu? Droga się cofa.

SZTUKA ŻAŁOSNA

W nieoczekiwany sposób zakończył się wernisaż ogólnopolskiej wystawy **„Falochron. Sztuka polska 1970—1980"**, otwartej 27 października w pofabrycznej hali przy ul. PKWN. Gdy kilkudziesięciu przybyłych (w tym łódzkie władze i osoby z dziećmi na rękach) chciało opuścić niewielkie, zatłoczone pomieszczenie, natknęło się na zamknięte drzwi. Po pół godzinie czekania w zaduchu i dymie papierosowym na interwencje organizatorów, goście zmuszeni byli ewakuować się z II piętra przez wysoki parapet, okno i żelaznymi, stromymi schodkami na zewnątrz muru, w kompletnych ciemnościach. Jak się okazało, drzwi zamknął na dwie nowe potężne kłódki i — żeby było śmieszniej — opatrzył nie nasuwanymi kluczami niejaki **p. Janiak z grupy plastycznej „Łódź Kaliska"**. Na przyklejonej do jednej z kłódek nalepce podpisał:

Łódź Kaliska. Sztuka żenująca
The ambarrasing art. Janiak 1980/81
Thanks!

Ktoś stwierdził, że była to „zemsta" artysty, rzekomo nie zaproszonego na wernisaż. Nam się jednak wydaje, iż „happening — ewakuacja", z pewnością w oczach dowcipnisia uchodzący za „świadome i celowe działanie artystyczne", był jedynie najgłupszym przykładem obicia reprezentowanej na wystawie „sztuki żenującej" P. Janiak nie tylko w pełni zrealizował programowe hasło, ale nawet bez wątpienia przekroczył normę w 150 procentach. Thanks!

(A.L.PINISTA)

DEJMEK ROZGRZESZONY

„A sztuki papieża? Proszę państwa — powiedział na niedawnej konferencji prasowej Kazimierz Dejmek (cyt. za dwutygodnikiem „Teatr" nr 21—22) — **Pan Wojtyła jest bardzo mądrym i utalentowanym człowiekiem, na pewno słusznie jest papieżem, ale to nie znaczy, że jest dobrym dramaturgiem. On pisze bardzo złe sztuki, jeżeli to są w ogóle sztuki. Ja przepraszam za bluźnierstwo, ale..."**

Reżyser „Żywotu Józefa" nie musi się obawiać. Z Watykanu donoszą, że Krzysztof Zanussi wyjednał już dla niego rozgrzeszenie.

(sol)

OGŁOSZENIE

KIEROWNICTWO PRODUKCJI FILMU „KLAKIER"

wypożyczy do zdjęć
TRESOWANĄ MAŁĄ MAŁPĘ.
Tel. Łódź — 625-92 lub 675-00, w. 462.

2418-k

Kierownictwo produkcji filmu „Klakier" zawiadamia, że „wypożyczy do zdjęć tresowana mała małpę"...
Zbiórka kandydatek na drzewach w parku Poniatowskiego, przy skrzyżowaniu al. Mickiewicza i Łąkowej...

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa Książka Ruch" i urzędy pocztowe Cena prenumeraty rocznej — 364 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP: XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2382. K-2.